# RODZINA
# polska



MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY
WARSZAWA

ROK XII STYCZEŃ 1938



Cena egz. 50 gr.

# Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

## VENI CREATOR!

We wszystkich kościołach katolickiego świata rozlega się hymn pokornej modlitwy, którym zaczynamy rok nowy: „Veni Creator!”

Kościół wzywa Ducha Bożego, Ducha Stwórcę, by przybył na pomoc poczynaniom ludzkim, aby swą potęgą wsparł ich wszystkie czyny, słowa i zamiary.

W tym samym czasie ci, którzy do Kościóła nie należą i wrogo się doń odnoszą, gdyby mieli hymnem zaczynać swój rok nowy, zanuciliby pewnie: „Nie chcemy Boga! Wystarczymy sobie sami!”

Czy naprawdę ludzie sami sobie wystarczą?

Przeczy temu najpierw niezbędny warunek życia i działania: — potrzeba światła. Po ciemku nic zrobić nie można. Ludzki dzień roboczy układa się według wschodu i zachodu słońca. Tak było przed nami, tak jest za nas i tak po nas będzie. A czyż to my sprawiamy sobie dzień, sprowadzamy noc na ziemię, regulujemy wschód i zachód słońca według własnego uznania? Nie, pod tym względem jesteśmy bezsilni. Ani o sekundę nie zdołamy przyśpieszyć lub opóźnić słonecznego zegara. Nie słucha dyktatorów ognista kula słońca.

Wynaleźli wprawdzie ludzie sposób zastępczego dobywania ognia z głazów i żywiołów. Posługują się nim w mrokach podziemi, przebijają tunele w łonie gór, ale i światło lamp, czy pochodni nie jest ich własnym wytworem. Jest tylko czerpaniem ze źródła, które stworzyła inna Moc. Potęga Tego, do którego modli się Kościół i Jego łaski wzywa:

— Veni Creator! —

Choćby nam jednak słońce stale świeciło i wszystko było przygotowane w tym wielkim warsztacie, oczekując na majstra-człowieka, choćby mu praca sama do rąk szła, nic na świecie nie byłoby zrobione, gdyby ludzie nie mieli rąk do pracy, nie mieli sił do działania. Daleko ważniejszym czynnikiem pracy jest pracownik, niż wszelkie warunki zewnętrzne. Może świecić pięknie słońce, mogą lasy być pełne budulca, a góry głazów i łomu, mogą stać w gotowości wszystkie koleje, nic to nie pomoże, jeżeli zabraknie robotnika, jeżeli robotnikowi zabraknie rąk do pracy.

W chwili, gdy te słowa piszę, upływa dwie, trzy sekundy. W sekundzie umiera na całym świecie mniej więcej dwu ludzi. Zatem pięć do sześciu osób pod naciskiem śmierci opuściło bezwładne ramiona. Może właśnie któryś z tych ubitych gromem śmierci podnosił ręce do wykonania wiekopomnych czynów i nie zdążył ich już dokonać. Zgon przeciął jego siły, unicestwił jego działalność. W ciągu doby umiera około dwustu tysięcy ludzi, miasto tak wielkie, jak Kraków, co miesiąc blisko 7 milionów, jakby olbrzym Nowego Jorku nagle zstąpił do grobu, co rok 73 miliony ludzi jest odwołane z pola swej działalności, państwo dwa razy tak wielkie, jak Polska.

I pomyśleć tylko! Czy ludzie mogą się wyzwolić z objęć śmierci? Nie mogą. Ta wszechpotężna władczyni tak samo kosi na Kremlu w szeregach bezbożników, jak w Częstochowie i w państwie watykańskim. Nad nią nikt z ludzi nie ma władzy, chyba tylko może ją rozpętać aż do szału wojen, by szersze pokosy kładła, więcej ubezwładniła, odebrała ludziom możność działania. Ale ponieważ tylko nieznacznie wyrywa swe ofiary z naszych szeregów, stąd usuwa się jej kośba spod naszej uwagi. Jednak prawda pozostaje prawdą. Siły nasze i możność działania zależą nie od nas, lecz od Stwórcy wszechżywiołów, wszechmocy... I dlatego przyzywa Go Kościół, błaga o siły do działania:

Veni Creator!

Jednak i warunki zewnętrzne pracy, nawet najpomyślniejsze, nic nie znaczą — i siły wielkie, jak sama potęga, nie wiele pomogą, jeżeliby zabrakło źródła tych sił: — żywej duszy człowieka. Siły przecież same w sobie nie istnieją, tylko są złożone w duszy człowieka. Stąd dopiero promieniują na otoczenie, działają. Cała zatem historia ludzkości bez ludzi jest nie do pomyślenia. A żywego człowieka, duszy ludzkiej, powołać do bytu nikt nie zdoła. Nikt życia nie wyprowadzi z grobu, nie wydobędzie z nicestwa. Ta fala przelewa się wprawdzie z pokolenia w pokolenie, ale nikt jej nie stworzył. I gdyby któregoś roku idiotyczna etyka bez Boga wygładziła zupełnie rasę białą, to nikt oprócz Boga nie zawróci fali krwi, nastawionej w biegu wieków na wytworzenie rasy żółtej, czy czarnej i nie wytworzy białego człowieka.

Istnienie duszy, jak wszelkich zresztą bytów, istot poza człowiekiem jest zależne w każdej chwili od twórczej mocy Boga. I jak w działaniu stworzeń swoich musi Bóg współdziałać, tak też każdej chwili On współ — jest z ich jestestwem, potrzymuje ich istnienie. Jego twórcze „stań się” — „fiat!” — nie przebrzmiało dotąd i nie przebrzmi. Pośród istot, które mają w sobie moc pożyczoną tylko, pośród zbiorowiska bez — mocy, nieodwołalnie potrzebna jest wszechmoc.

I o tę twórczą wszechmoc Bożą doprasza się Kościół Boży. Zaczynając nowy odcinek dziejów świata, lepienie nowej cegiełki życia ludów, Kościół wzywa łaski Najwyższego dla rąk dwu miliardów ludzi, dla ich serc, dla ich dusz nieśmiertelnych. Aby tylko wartości nieśmiertelne wychodziły z ich ludzkiego warsztatu pod tchnieniem Ducha-Stwórcy.

— Veni Creator! —

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK XII. WARSZAWA — STYCZEŃ 1938 Nr 1

# POTOMNYM NA ŚWIADECTWO

W dobie, gdy często się słyszy — zwłaszcza z obozu młodych, że nasza przeszłość powinna obchodzić właściwie tylko zawodowych historyków, gdy panuje moda na „odbronzowywanie" bohaterów i pomniejszanie wielkości, gdy pamięć nie chce sięgać dalej poza okres powstań porozbiorowych — idea miłości ojczyzny staje się czymś wyrozumowanym, a ofiarność i praca dla dobra narodu uchodzi za czyn, który sowicie winien być wynagrodzony przez wdzięczne społeczeństwo. — Trzeba jednak nadmienić, iż tego rodzaju patriotyzm nie jest czymś nowym w naszej historii. Przecież w czasach, gdy Najjaśniejsza Rzeczpospolita Królewska zaczynała chylić się ku upadkowi — kazano sobie płacić za każdą usługę oddaną państwu, „chlebem dobrze zasłużonych", intratnymi stanowiskami, krzesłami senatorskimi, buławami i tytułami. Co gorsza, nagrody takie miały tendencje omijania istotnych zasług, a dostawania się ludziom, którzy tym się najbardziej zasłużyli krajowi, że należeli do świetnych rodów. Odbywało się wciąż dyskontowanie zasług przodków, a obowiązek służenia krajowi całym sercem i duszą — spadał na innych mniej... godnych.

Ale, co jest rzeczą ciekawą, że właśnie w takiej atmosferze Rzeczpospolita wydawała mężów, którzy po wszystkie czasy będą wzorami bezinteresownego umiłowania ojczyzny, takich bohaterów, którzy mogą być przedmiotem zazdrości innych narodów, rycerzy bez skazy, ocalających honor narodu.

Przed paru miesiącami Polska właśnie przypomniała sobie Stefana Czarnieckiego, z okazji przeniesienia jego prochów do nowego grobowca w kościele w Czarncy. Uczczenie hetmańskich szczątków wprawdzie nastąpiło z inicjatywy prywatnej, ale przed trumną tego wielkiego Polaka schyliły się w hołdzie sztandary armii odrodzonej Polski w obecności jej naczelnego wodza.

A warto pamiętać kim był Czarniecki. Jego to zasługa, iż upadek wspaniałego państwa polskiego, któremu już groziła zagłada w połowie XVI w., nastąpił dopiero w 150 lat później. On to wyratował Polskę z „potopu"..

Od wczesnej młodości do zgonu trwa Czarniecki w żołnierskiej służbie Rzeczypospolitej; w zapasach z Moskalami, Kozakami, Szwedami i Siedmiogrodzianami Rakoczego. Życie swoje mógł obliczać na bitwy. Widzimy go już pod Smoleńskiem. Dostaje się do niewoli tatarskiej pod Żółtymi Wodami, podczas rebelii Chmielnickiego bije się pod Zborowem, Beresteczkiem i Batowem. Pod Monasterzyskami jest ciężko ranny. Ozdrowiawszy razi potem Kozaków pod Brasławiem.

Nie jest karmazynem, ale „nie z soli, nie z roli, lecz z tego co boli" urasta Czarniecki na wodza narodu. Gdy Rzeczpospolita staje się pastwą najazdu szwedzkiego — jest jej niestrudzonym, najdzielniejszym obrońcą. Rozpoczyna walkę o wolność, niepodległość i całość Rzeczypospolitej i walkę tę wygrywa...

Nie zna spoczynku i jak błyskawica przenosi się z miejsca na miejsce i uderza jak piorun. Gdy większość narodu szlacheckiego opuszcza prawowitego króla, on wiernie trwa przy nim, broni honoru sztandaru polskiego. W niezliczonych bitwach i potyczkach szarpie i nęka najeźdźców. Zapędza się za wrogiem aż do Danii i tam, przy zdobywaniu wyspy Alsen wpław przebywa z wojskiem swym cieśninę morską, wywołując powszechne w Europie zdumienie. Gdy wraca do kraju, czekają nowe walki. Odpiera najazd Rakoczego. Bije wrogów nad Bugiem, i Narwią, pod Połonką i Lachowiczami. W walkach z kozactwem na Ukrainie staje się postrachem rebelizantów. Wreszcie ranny pod Stawiszczami, znużony chorobą w drodze do spokojniejszych okolic w 1665 r. w Sokołówce umiera na żołnierskim łożu.

Gromadził pod swymi rozkazami wszystko, co było najszlachetniejsze w narodzie, wiódł żołnierzy swych do zwycięstw, ale omijała go stale buława hetmańska. Kontentować się musiał kasztelanią kijowską i województwem ruskim. Buława dostawała się „bardziej zasłużonym". Dopiero na łożu śmierci doczekał się tego zaszczytu. Ale czy kiedy niewdzięczność ludzka pomniejszała jego ofiarność, zapał i bohaterstwo? Nigdy. Nie znosił magnatów, i ci mu odpłacali pięknym za nadobne. Nie pochlebiał demokracji szlacheckiej — przeciwnie karcił jej warcholstwo. Nie był więc popularny.

Ten rycerz niezłomny, zwycięzca Szwedów, w perspektywie stuleci urasta na bohatera Fidiuszowej miary,

na wiekuisty wzór, ofiarnego poświęcenia całego życia dla ojczyzny. —

Ale przed nim znajduje się inna jeszcze postać posągowa. To Stanisław Żółkiewski, hetman wielki koronny, zwycięzca spod Kłuszynu, zdobywca Moskwy, który carów moskiewskich jako jeńców przywiózł do Warszawy...

Los mu nie skąpił ani bogactwa ani zaszczytów, ani powodzenia na polu bitewnym. Był sprawcą największych triumfów Rzeczypospolitej, ale i świadkiem jej słabości, marnowania ogromnych wysiłków i potwornego egoizmu synów Najjaśniejszej, dla których była najlepszą matką.

Zdawał sobie Żółkiewski sprawę, że nad krajem — nad wielkim dziedzictwem Jagiellonów, zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo, że nadchodzi nieuniknione starcie z potęgą Osmanów, że Polska musi się przygotować do walki na śmierć i życie. Cóż mógł począć, mając pod sobą garść wojska kwarcianego na kresach państwa, tuż u progów imperium tureckiego? Człowiek czynu, budził uśpionych, nawoływał i przekonywał. Na próżno. ...nie napotykał dobrej woli, tylko niechęć, lenistwo i oszczerstwo. Niechętni mu magnaci woleli szukać na własną rękę korony hospodarskiej na Wołoszczyźnie, niżeli myśleć o obronie Rzeczypospolitej.

„Żyłem — pisał do Zygmunta III — aż nadto i czego żem w tym długim życiu doświadczył, oczyma widział? Domowe niezgody, wojny niepotrzebne wzniecone, niedołężnie wiedzione, przy najświetniejszym męstwie fatalną, psującą wszystko niesforność i chciwość, pogardę praw, zniewagę majestatu, niestety samej nawet wolności, na koniec prześladowanie, obmowę, ściganie wiernych ojczyźnie mężów".

Tego człowieka, który miał duszę prawdziwie anielską, męża którego w miłości dla ojczyzny nikt prześcignąć nie mógł, warcholstwo pomawiało o sprzeniewierzanie się interesom państwa, o kunktatorstwo, o poniżanie godności Rzeczypospolitej wobec potężnego, szykującego się do skoku wroga.

I wielki starzec musi na sejmie 1618 r. rzucić wezwanie swym oskarzycielom pokątnym:

„Tu jest miejsce, aby mię każdy śmiele w oczy w sprawach moich winował, dostaję mu prawo bez pozwań ani mandatów".

Ale potwarz nie miała odwagi wystąpić otwarcie, a samolubstwo, zaślepionych i pycha nie pozwoliły pośpieszyć na ratunek zagrożonej ojczyzny. I doczekano się klęski cecorskiej.

Ze zgrozą i wstydem palącym czytamy dziś opisy tej wojny. Musiała wybuchnąć. Sędziwy hetman, posłuszny rozkazom Jego Królewskiej Mości, żołnierz wytrwały, pełny poświęcenia — idzie z garstką kilkutysięczną wojska koronnego na spotkanie nieprzyjaciela. Prosi Boga o śmierć rycerską na polu bitwy, bo wierzy, że jego krew obudzi sumienie zgnuśniałego szlacheckiego narodu. Chce tylko, by nieuniknione nieszczęście w starciu z potęgą sułtańską — jak najmniejsze szkody przyniosło krajowi. Czyni tak, jak każe mu ogromne doświadczenie wojenne i cały swój geniusz wojenny rzuca na szalę wypadków.

Przechodzi Dniestr — polski Rubikon i posuwa się zwolna stepami besarabskimi na pomoc hospodarowi wołoskiemu. Dnia 12 września 1629 r. staje w dolinie Cecory o dwie mile od Jass, aby ściągnąć na siebie roje nieprzyjaciół i zasłonić kraj. Nie lęka się przewagi turecko-tatarskiej Iskandera Baszy, Dewlet Gireja i Kantemira. Rozpoczynają się krwawe zapasy. Polacy walczą jak lwy. Nie pierwszy to raz rycerz polski stawia czoło kilku nieprzyjaciołom. Ale o to przychodzi noc hańby i klęski. Dnia 19 września po dniu spędzonym w bitwie, w ciemną noc część wojska pod przewodem kilku ze znaczniejszych rycerzy wywołała tumult w obozie i uszła przez Prut. Nie tchórzostwo i zdrada pchnęły ją do tego haniebnego czynu, lecz zawiść, warcholstwo i duch pychy. Spośród winowajców paniki i zbiegów Struś, Tyszkiewicz i Korecki ochłonęli jednak w falach Prutu i wrócili do obozu. Gdy Korecki jął usprawiedliwiać się i powoływał się na pogłoskę o ucieczce hetmana, Żółkiewski rzekł:

„Ja tu stoję, a woda ze mnie nie ciecze".

Po tej nocy straszliwej szeregom polskim zabrakło 3 tys. wojowników, tj. więcej niż połowy sił dotychczasowych... Gdyby Turcy zdawali sobie sprawę z tego co się działo w obozie polskim — nie ocalałby nikt...

W tych warunkach rozpoczyna się odwrót Żółkiewskiego do Dniestru, do granic Rzeczypospolitej, stepem bezwodnym, wśród nieustannych ataków nieprzyjaciela.

Znów tu, u progu ojczyzny, przyszła druga noc straszliwa z 6 na 7 października. Niezwyciężona w otwartym boju garść rycerzy polskich — staje się ofiarą paniki, wynikłej przez nieporozumienie, bez powodu...

Przy hetmanie pozostało zaledwie 300 rycerzy. Byli to niemal wszyscy ci sami, którzy stali się sprawcami hańby nad Prutem. Zmywali ją teraz krwią własną. Walka z mrowiem turecko-tatarskim wrzała. A hetman składał przed spowiednikiem ostatni rachunek ze swego życia, bo polski rycerz chrześcijański chciał czysty stanąć przed Panem. Przy końcu boju, hetman pozostał na czele jedenastu zaledwie walczących; skierował rumaka na zastępy wrogów, aż wreszcie znikł w ciemnościach nocy.

Nazajutrz znaleziono jego zwłoki okryte ranami. Szabli z rąk jednak nie wypuścił. Tak zginął bohaterski wódz Polaków. Stanisław Żółkiewski w noc październikową, a jego ofiara z własnego życia — wstrząsnęła wreszcie sumieniem społeczeństwa i po Cecorze przyszła chwała Chocimia.

Był godzień „śmierci tak słodkiej dla wiary świętej, dla ojczyzny" — a przy jego grobowcu w Żółkwi wyrastał mściciel — krzywdy chrześcijaństwa, hetmański wnuk po kądzieli Jan III, zwycięzca pod Wiedniem.

Po trzech wiekach, gdy Boża wola, znowu każe Polsce stać na straży chrześcijańskiej cywilizacji na szańcu wschodnim — gdy z ust współczesnego nam naczelnego wodza armii polskiej — pada hasło: „Dyktaturą naszą winna być miłość ojczyzny". Ofiarne czyny hetmana Żółkiewskiego uczą młode pokolenia Polaków, jaką winna być ta miłość wykwitła z wiary i szlachetności serca.



*KARDYNAŁ-ARCYBISKUP DR TEODOR INNITZER*

# ŻYWY CHRYSTIANIZM — TO JEDYNY RATUNEK



**Czemu stoimy nad brzegiem przepaści?**

Dlatego, że ludzkość w życiu współczesnym, zwłaszcza w małżeństwie i rodzinie odwróciła się od źródła życia — Boga i wykopała studnie, które nie mogą utrzymać wody. Toteż zarówno w narodzie jak i w rodzinie wyschło źródło życia, dlatego zanika chęć do życia, dlatego tak zasobny dawniej w siły żywotne Zachód kroczy drogą śmierci.

Stoimy na skraju przepaści, grozi nam bezpośrednio runięcie w jej straszną otchłań dlatego, że opuściliśmy Chrystusa, tego Chrystusa, który sam nazwał się Żywotem. Przez Niego, przez słowo Boże, zostało wszystko powołane do życia w porządku przyrodzonym i nadprzyrodzonym. Przed Nim zamknęły drzwi nasze małżeństwa i nasze rodziny. Dlatego też śmierć zbiera swe straszne żniwo, dlatego też pierzcha życie z naszych rodzin, a tym samym z narodu.

Ale miejsce, które Bóg i Chrystus opuścił w naszych rodzinach, nie pozostało puste. Inne zajęły je moce: bezbożnictwo i nienawiść ku Bogu, samolubstwo i chęć używania, nawet ciepła i serdeczna miłość musiała ustąpić miejsca zimnemu wyrachowaniu. Szatańskie moce, coraz to więcej, dzień po dniu, sięgają po małżeństwa i rodziny, które opuściły Boga. Już grozi niebezpieczeństwo, że wojujący ateizm w postaci bolszewizmu przeniknie do naszych rodzin, wtargnie do chrześcijańskiego Zachodu. Czarna przepaść rozwiera się groźnie pod nami.

**Co nas może ocalić od runięcia na dno przepaści, na skraju której stoimy?**

Powrót do myśli Bożej! Ten okrzyk na trwogę wzniósł sam Ojciec święty w swej encyklice, poświęconej zagadnieniu małżeństwa i rodziny. Ludzkość musi zdać sobie sprawę z tego, czym ma być małżeństwo i rodzina w zamiarach Opatrzności Bożej. Małżeństwo i rodzina — obie te instytucje, wzięły swój początek bezpośrednio z kręgu myśli Bożej, toteż musimy poznać ich wielkie skarby i musimy je wyjąć spod wszelkiego ludzkiego wyrokowania. Z tego wynika sam przez się drugi nakaz:

Powrót do prawdziwie chrześcijańskiego życia! Przede wszystkim mamy być znowu prawdziwymi chrześcijanami w życiu małżeńskim i rodzinnym. To znaczy: chrześcijanami, w których żyje Chrystus, których życiem jest Chrystus. Właśnie w małżeństwie i rodzinie, gdzie większość ludzi ma sobie zasłużyć na niebo, musi ujawnić się życie Chrystusowe w naszym śmiertelnym ciele. Kto uznaje Boga, Jego prawdy, zamiary i plany, ten posiada życie, to znaczy, tego naturalne życie musi się przekształcić w życie Boże, tego chlebem codziennym musi być pełnienie woli Ojca Niebieskiego, on tej woli Bożej będzie sam szukał w małżeństwie i rodzinie i bez reszty i kompromisu uczyni ją prawidłem swego życia. Wówczas zaś ocaleją małżeństwo i rodzina!

Z powrotem do Boga, do życia w Chrystusie w całym zakresie naszego bytu, a przede wszystkim w życiu społecznym i gospodarczym. Tu zapanować musi spra-



*DR M. SKRUDLIK*

# ŚW. RODZINA ZE STUDZIANNY

Studzianna w opoczyńskim (diecezja sandomierska) leży na wielkim szlaku pielgrzymim, łączącym północno-zachodnie ziemie Rzeczypospolitej z Częstochową. Jest to jeden z najważniejszych etapów dla kompanii, ciągnących na Jasną Górę, szczycący się również posiadaniem cudownego obrazu, znajdującego się w tamtejszym kościele o.o. oratorianów (filipinów).

Studzianna i sąsiednie Poświętne były to osady leśne, położone w puszczy, która niemal do lat 1863—1870 pokrywała płaskowzgórze prawego brzegu Pilicy.

Według niestwierdzonego podania, obraz ze Studzianny posłał w darze swemu zięciowi, królowi Władysławowi IV, cesarz Ferdynand II, wyprawiając w r. 1637 córkę swą Cecylię Renatę do Polski. Po śmierci królowej w r. 1644, obraz przeszedł na własność marszałka dworu królowej, Maksymiliana Przyrębskiego, kasztelana sieradzkiego.

Po Masymilianie Przyrębskim, obraz św. Rodziny odziedziczyła córka jego, wydana za Albrechta Starołęskiego, właściciela Znamierowic. Po śmierci żony, Albrecht Starołęski ożenił się z Elżbietą Boguszówną, wdową po Abrahamie Zbąskim, matką późniejszego biskupa Jana Stanisława Zbąskiego.

Faktem stwierdzonym zeznaniami biskupa jest, że już w jego latach dziecięcych, obraz św. Rodziny znajdował się w domowej kaplicy we dworze w Znamierowicach. Kiedy w r. 1671 arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Prażmowski wyznaczył komisję dla zbadania cudów w Studziannie, Jan Stanisław Zbąski zeznał wówczas przed delegatami arcybiskupa, że jeszcze jako mały chłopiec widywał cudowny obraz we dworze w Znamierowicach.

Faktem jest również, że później obraz przeniesiono do dworu w Studziannie, majętności biskupa, gdzie w latach 1660—1664 miały miejsce pierwsze cuda. Po śmierci matki, Jan Stanisław Zbąski, spełniając jej wolę, ufundował w Studziannie, wraz z przyrodną swą siostrą Zofią Starołęską, klasztor i kościół o.o. filipinów, do którego przeniesiono cudowny obraz.

Obraz św. Rodziny ze Studzianny uchodził dotąd za dzieło genialnego sztycharza francuskiego XVII stulecia, Jacques Callota, pierwszego wielkiego pacyfisty, twórcy „Okropności wojny”, poprzednika Goyi.




*Rycina Jacques Callota: Św. Rodzina.*

Obraz ze Studzianny zasłonięty jest w znacznej części tzw. sukienkami, wykonanymi z aksamitu i ozdobionymi perłami i szlachetnymi kamieniami.

Dokładne zbadanie malowidła umożliwiło oddanie obrazu w miesiącach letnich 1936 r. do restauracji Henrykowi Kucharskiemu z Warszawy.

Nie ulega najmniejszej kwestii, że obraz św. Rodziny ze Studzianny jest wiernym powtórzeniem ryciny Jacques Callota, sygnowanej „Jac. Callot In. (venit) et fec. (it). Nanceij”, a pochodzącej z lat 1625—1628. Egzemplarz tej ryciny znajduje się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

---

wiedliwość społeczna, na tym zasadza się powrót do myśli Bożej w życiu społecznym i gospodarczym. Dobra muszą być sprawiedliwie rozdzielane, a koroną tej sprawiedliwości stać się musi miłość. Miłość zatem, jak mówi Ojciec św., nie może być namiastką powinnej, lecz odmówionej sprawiedliwości. Wówczas rodziny nasze znowu swobodniej odetchną i będą mogły spełniać zadania, które im Bóg poruczył.

Kto więc chce budować państwo chrześcijańskie, ten musi dać posłuch wezwaniu Papieża. Jak może Bóg być z nami w życiu publicznym, jeżeli nie przyznajemy się do Niego w życiu praktycznym, a zwłaszcza w życiu małżeńskim i rodzinnym, jeżeli życie małżeńskie i rodzinne bez Niego chcemy kształtować? Jak może nam Bóg błogosławić, jeżeli krew niezliczonych, zamordowanych, nienarodzonych dzieci, z dnia na dzień woła o pomstę do nieba, jeżeli lekceważymy sobie ustanowione uroczyście przez Chrystusa prawa małżeńskie i rodzinne, jeżeli główne przykazania społeczne: sprawiedliwość i miłość nie są zasadniczymi filarami i główną podstawą naszego życia!

Zaiste powrócić nam trzeba do myśli Bożych, do żywego chrystianizmu. Naszym programem musi być: z powrotem sprowadzić Boga do wszystkich dziedzin naszego życia prywatnego i publicznego, a szczególnie do małżeństwa i rodziny!

Jacques Callot (urodzony w r. 1592 w stolicy ówczesnej Lotaryngii, w Nancy, zmarł w swym mieście rodzinnym w r. 1635), świetny obserwator życia, odtwórca scen ulicznych, ludowych, ilustrator wydarzeń wojennych, oblężeń, pochodów, walk i potyczek, naturalista z krwi i kości, którego twórczość zaważyła potężnie na rozwoju malarstwa historyczno-batalistycznego XVII stulecia, nadał swej św. Rodzinie również wybitnie rodzajowy charakter. Rycina ta znana jest pod nazwą „Le Bénédicite". W istocie rzeczy jest to rodzajowy obrazek, przedstawiający posiłek wieczorny św. Rodziny. Gwoli spotęgowania efektów oświetlenia, wprowadził rytownik wielkie aureole promieniste okalające głowę Najśw. Panny i Dzieciątka Jezus.

Św. Józef podaje dziecku duży kielich z napojem. Do tego fragmentu ryciny odnosi się napis, pomieszczony pod ryciną:

„Eja age, care puer, calicem bibe. Te manet alter qui tensis manibus non nisi morte cadet" (Nuże, drogi chłopcze, pij z tego kielicha. Czeka ciebie inny, który wyciągnąwszy ręce, aż przy śmierci spełnisz").

Identyczność kompozycji w rycinie i w obrazie ze Studzianny nie jest w tym wypadku żadnym argumentem. Faktem bowiem jest, że Callot nie pozostawił po sobie ani jednego obrazu olejnego.

Był to wyłącznie sztycharz, który nigdy nie wychodził poza swą dziedzinę. Jakkolwiek obraz ze Studzianny jest dziełem artysty, panującego nad formą, to jednak pod względem rysunkowym obraz nasz stoi o wiele niżej od ryciny Callota.

Powtarzanie i transponowanie na płótno kompozycyj głośnych rytowników było w wiekach minionych na porządku dziennym.

Przez długi szereg lat uchodziły np. za dzieła A. Dürera obrazy, które były jedynie malarską transpozycją drzeworytów i miedziorytów Dürera, wykonaną przez nieznanych malarzy.

Stwierdzić przeto należy z całą stanowczością, że Jacques Callot nie był twórcą „Św. Rodziny" ze Studzianny. Obraz nasz malowany jest olejno na płótnie, przyklejonym do deski.

Krój strojów św. Rodziny, przejęty wiernie z ryciny Callota, odpowiada ściśle formom ubiorów małomieszczańskich we Francji w pierwszej połowie XVII w.

W rycinie, źródłem światła są duże aureole promieniste, okalające głowy Dzieciątka Jezus i Najśw. Maryi Panny — oraz świeca, ustawiona na stole. Światło kładzie się wielkimi plamami na szatach postaci i na obrusie. Zastawa stołu rzuca ostre, długie cienie.

Hierarchię osób, pojawiających się w rycinie, zaznaczył Callot za pomocą różnego rodzaju nimbów. Głowa Dzieciątka Jezus widnieje na tle wielkiego nimbu. Tego rodzaju, tylko mniejsza światłość promienista unosi się nad głową Maryi, nad głową św. Józefa połyskuje jedynie nikły krąg światła. Motywy światłocienia, odgrywające zasadniczą rolę w rycinie, w obrazie ze Studzianny prawie nie istnieją. Na stole płonie wprawdzie świeca, ale całość utrzymana jest w tonach i walorach światła dziennego we wnętrzu domu. Malarz pominął wielkie nimby, promieniejące nad postaciami w rycinie Callota.

Obraz malowany jest płynnie, farby kładzione są cienką, wygładzoną warstwą. Faktura obrazu wyzbyta jest



*Cudowny obraz św. Rodziny (bez ozdób) ze Studzianny.*

wyraźniejszych akcentów indywidualnych i wskazuje ogólnie na malarza wyszkolonego na wzorach flamandzko-niemieckich.



*Cudowny obraz św. Rodziny ze Studzianny pokryty ozdobami z metalu i jedwabiu.*

ZYGMUNT LEŚNODORSKI

# LEGENDA RIWIERY

Riwiera francuska jest zakątkiem Europy tak spopularyzowanym przez kino i literaturę, że podróżny, który przybędzie po raz pierwszy na ten uprzywilejowany skrawek śródziemnomorskiego wybrzeża, zobaczy niejeden szczegół, dobrze właściwie już znany z ilustracji czy opisu. *Promenade des Anglais* w Nicei i zawieszona nad wodą kolorowa kopuła kasyna *De la jetée* jest równie często reprodukowana na prospektach czy kartkach pocztowych, jak wieża Eifla, lub Łuk triumfalny w Paryżu. To samo dotyczy standaryzowanych cech krajobrazu Południa, jak palmy, winnice, błękit wody i nieba bez chmur, malownicze skały przybrzeżne, etc. Niemniej jednak bezpośrednie zetknięcie się ze światem „lazuru i słońca" dostarczy wielu wrażeń nieprzewidzianych, podobnie zresztą jak każda konfrontacja rzeczywistości z wyobrażeniem.

Droga żelazna, która biegnie ściśle wzdłuż włoskiego i francuskiego wybrzeża, w najpiękniejszej jego części, między San Remo a Niceą, jest prawdziwym arcydziełem techniki i posiada wspaniałą krajobrazową oprawę. Morze i góry sąsiadują tutaj ze sobą bezpośrednio. Powykręcana linia toru kolejowego przebija się przez fantastyczne nadbrzeżne skały dziesiątkami tuneli, które następują tuż po sobie, jeden za drugim. W czasie jazdy pociągiem mrok i coraz to nowe widoki morza, nieba i gór przeplatają się ze sobą z kinematograficzną szybkością. Szerszych perspektyw krajobrazowych dostarczy jednak dopiero podróż efektowną autostradą, która biegnie mniej więcej równolegle do toru kolejowego , tylko, że znacznie śmielej i bardziej, „na powietrzu". Raz po raz otwierają się tutaj malowniczo wcięte w głąg lądu zatoki, oparte o strome stoki gór, pełne spiętrzonych nad sobą zabudowań, ogrodów oliwnych i winnic. Gdy podróżujemy tędy nocą, granica między morzem a lądem zaciera się, nieruchoma woda odbija setki rozsypanych wokoło świateł, a krajobraz zamienia się w jakąś granatowo-srebrną otchłań, pełną gwiazd.






W skomplikowanej rzeźbie terenu zorientujemy się jednak dopiero wtedy, gdy odbędziemy podróż z Nicei do Mentony słynną trasą „Grande Corniche". Jest to fantastyczna autostrada, która szeregiem serpentyn wspina się na wysokość kilkuset metrów i biegnie górą wzdłuż wybrzeża. Na tej wysokości dopiero występują w całej pełni zasadnicze cechy krajobrazu Riwiery — światło, przestrzeń, cisza. Dwa monotonne bezmiary błękitu — morze i niebo zlewają się ze sobą wzdłuż rozmazanej linii horyzontu. Zatopiona w milczeniu, nasycona blaskiem przestrzeń wytwarza trochę senny nastrój spokoju, beztroski, dobrobytu.



U góry: *Fragment miejscowości Antibes i panorama Alp Morskich.*
W środku: *Gourdon, fragmenty starych zabudowań i ogrody wiszące.*
U dołu: *Plaża w Nicei.*

Z secesyjno-barokowym krajobrazem, pełnym zagmatwanych kształtów, linii i kolorowych plam, harmonizuje wiernie architektura. Intensywny rozkwit Riwiery francuskiej przypadł na schyłek ub. wieku i lata przedwojenne. W tym też jeszcze czasie powstały wielkie hotele, luksusowe wille, kasyna i parki w Cannes, Nicei, Monte Carlo. W latach powojennych rozwój tych miejscowości klimatycznych uległ pewnemu zahamowaniu. Z tych też przyczyn niewiele tutaj znajdziemy nowoczesnych budowli z epoki betonu, metalu i szkła. Wszędzie króluje bogata burżuazyjna secesja — gzymsy, pilastry, kariatydy, stiuki, gipsatury, kolumny, kopuły. Do tego stylu stosuje się sztuczna niwelacja terenu, schody, wodotryski, kaskady na tle dekoracyjnych palm, agar, kaktusów i innych okazów egzotycznej roślinności. Wszystko to razem tchnie pewną staroświecczyzną i przypomina oleodruki i sztychy z czasów Edwarda VII, wielkiego nb. sympatyka Riwiery, uczczonego przez tę prowincję pięknym posągiem w Cannes. Mimo woli chciałoby się tutaj widzieć zamiast aerodynamicznych limuzyn — wysokie pojazdy, pełne brodatych panów i dam w secesyjnych strojach sprzed lat kilkudziesięciu.

Nie tylko bowiem klimat i krajobraz jest główną atrakcją Riwiery. Wybrzeże to ma swoją tradycję. Tradycję wykwintu, luksusu i najwyższych emocyj, jakie dostarcza wyrafinowana cywilizacja współczesności. Słynne kasyna gry, wykwintne promenady, modne plaże, luksusowe hotele, najdroższe restauracje, magiczny blask pieniądza i nieustanna rewia ludzkiego snobizmu stworzyły legendę Riwiery, legendę beztroskiego bytu z dala od szarej codziennej pospolitości, trosk i powszednich... skrupułów i zasad. Szczególne właściwości klimatu Południa, rozpylona w powietrzu zmysłowość stwarzają nowe perspektywy życia, marzenia i sny. Oto Riwiera arystokratyczna i burżuazyjna, Riwiera z filmu i powieści Weyssenhoffa, corso towarzyskie Europy, wymarzone Eldorado uciech i, mniej lub więcej niebezpiecznych namiętności.

Wszystko to razem jest już jednak potrosze — przeszłością. Legenda Riwiery przybladła. Egzotyczne plaże Jugosławii, Rumunii, nowe miejscowości klimatyczne nad Atlantykiem zdystansowały swą atrakcyjnością niezbyt już modne dzisiaj „Côte d'Azur". Riwiera w epoce kryzysu zaczęła się w wydatny sposób domokratyzować. Niewątpliwie popularna plaża w *Juan les Pins* ściąga w dalszym ciągu wyładowaną dolarami plutokrację amerykańską, a w „salons privées" kasyna w *Monte Carlo* po dawnemu przelewają się przez zielone stoły setki tysięcy franków. Atrakcje zimowego sezonu, zawody tennisowe, automobilowe raidy gwiaździste, konkursy elegancji i mody ściągają i dzisiaj tzw. wykwintny towarzyski świat. Poza tym jednak ogólny ton nadaje już tutaj inna nieco publiczność. Zwłaszcza poza głównym sezonem w najlepszych nawet hotelach zatrzymują się gromadne wycieczki Cooka i innych biur podróży, a sklepy licytują się w obniżaniu cen, wystawiając na pokaz standaryzowaną fabryczną tandetę. W salach kasyna, w kawiarniach, restauracjach i na dancingach, nawet w porze wieczorowej pojawiają się demokratyczne„ spacerowe ubrania. W Nicei, która jest









U góry: *Nicea, Promenade des Anglais i Casino de la Jetée.*
W środku: *Cannes, corso nad brzegiem morza.*
U dołu: *Ogólny widok Mentony.*

*JÓZEF CHUDEK*

# OKNO NA ŚWIAT W DZIECINNYM POKOJU

Zainaugurowana w ostatnich latach propaganda na korzyść zdobycia kolonii dla Polski uświadomiła nam rzecz nieprzyjemną: siedząc tu w kraju „na własnych śmieciach", zapomnieliśmy w ogromnej masie, że istnieje wielki, szeroki świat. To prawda, że przez wiek przeszło polityczni emigranci polscy zwiększali swymi grobami wszystkie kontynenty; prawda również, że polski chłop ciął i tnie pod grunt uprawny puszcze dziewicze obu Ameryk; za dużo jednak w emigracji naszej było zdesperowania. Emigrowano u nas z rozpaczą bezpowrotu, tymczasem taki np. Holender wyjeżdża tylko po to, żeby się zbogacić, przywieźć do kraju macierzystego majątek i w dobrobycie spędzić pełnię życia.

W Polsce musimy się dowiedzieć nareszcie o istnieniu świata, bo tylko tam znaleźć można rynki zbytu dla polskich towarów i tam się można zbogacić. Możliwości są wielkie — nie ma ludzi, którzy by mogli się tym zająć. A nie ma ich dlatego, że nas chowano w zaścianku. Bo cóż się pamięta z najpierwszych wrażeń dzieciństwa? Najpierw był ogromny sad babcin, któremu końca nie było (tak teraz zmalał!); potem miasto, gdzie ojciec chodził „do zajęcia"; a potem jakiś letni Nałęczów czy Ciechocinek, gdzie się ku rozpaczy rodziców ginęło na deptaku wśród stłoczonego tłumu. Świat dawał znać o sobie dopiero z atlasu, który się dostawało po zdaniu do pierwszej klasy. Buciata Italia kopała szpicem Sycylię, Afryka była jak wygryziony piernik... Późno się świat objawił! Kiedy się myślało już o tym, że też się będzie pracować w biurze jak ojciec, albo w chwilach nadzwyczajnych pomysłów chciało się być aż... konduktorem na kolei.

Tak było z zasady. Jeden z pierwszych polskich pilotów, Antoni Scheur (zginął w katastrofie w Bydgoszczy 28 września 1920 r.), w styczniu tego roku notował w swoim dzienniku: „Powinienem koniecznie powłóczyć się po świecie i zwiedzić coś, a nie wyobrażać sobie, że cały świat — to Warszawa i Polska. W ogóle zdaje mi się, że ludzie za mało myślą o innych ludziach i innych środowiskach, pojęciach i obyczajach itd. Zanadto żyją ciasno i jednostronnie." Żeby się przeciwstawić temu, Scheur zdobywa się na decyzję: „Udekorowałem mój pokój mapami, a to w tym celu, żeby nie zapomnieć o istnieniu obszarów, lądów, oceanów i o tym, że w tej chwili, chociaż u nas jest noc, niepogoda i zimno, to tam gdzieś na drugiej półkuli słońce jasno świeci i wspaniale, jest pogoda i ciepło."

Czyn Scheura nie jest czymś śmiesznym. Poważny uczony, historyk kartografii, dr Bolesław Olszewicz, namiętnie namawiający wszystkich do kolekcjonowania map, zacząłby nas przekonywać, że istotnie, „z punktu widzenia samej tylko estetyki są one stokroć piękniejszą ozdobą, niż liche reprodukcje obrazów". Ja sam na własne oczy widziałem niedawno w chacie na Podlasiu mapę warstwicową Polski, która na białej ścianie dawała wspaniały efekt — niby najnowocześniejszy obraz. Nie chodzi tu jednak o cele dekoracyjne. Zawieszenie bowiem mapy w pokoju dziecinnym — to przede wszystkim otwarcie okna na świat — świat, który jest do zdobycia.

Nie myślę nikogo przekonywać, podsuwam tylko materiał do przemyślenia, a malkontentom przypomnę, jak to było z odkrywcą Troi, Schliemannem. Zaczęło się wszystko od nic nieznaczącego na pozór, dziecięcego postanowienia, że gdy urośnie, pojedzie robić poszukiwania archeologiczne w znanej mu z „Iliady" Troi. Okoliczności życiowe składały się jak najgorzej, jednak zdobył środki na prowadzenie prac, pojechał, zaczął poszukiwania i wreszcie mityczna Troja stanęła wobec nauki rzeczywistością wykopalisk.

Nie wiadomo, jakie postanowienia obudzić może w paroletnim obywatelu mapa ze ściany dziecinnego pokoju. Jedno jest tylko pewne, że nieszpecąca ścian barwna plama nie zrobi mu żadnej krzywdy. Najwyżej nie przyniesie pożytku, choć szczerze mówiąc, w szkole takie opatrzenie się mapą na pewno się przyda.

---

obecnie dużym, przemysłowym miastem, wzdłuż słynnej na cały świat *Promenade des Anglais* ciągnie się zwyczajna „dzika" plaża, gdzie latem rozkłada się miejski proletariat, nie korzystający bynajmniej z tego rodzaju urządzeń, jak kabiny kąpielowe. Wśród międzynarodowego towarzystwa, które oblega stoły z ruletą i *trente quarante*, pląta się liczna czereda podejrzanych osobników, niebieskich ptaków, szulerów, nałogowych graczy, zdeklasowanych snobów, kobiet niejasnego prowadzenia się etc. Poza tym wreszcie przedwojenny przepych Riwiery z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się dość banalny i... tandetny. W porównaniu z rozbudową nowszych ośrodków cywilizacji i miejscowości klimatycznych znajdziemy tutaj wiele jeszcze prymitywu, ciasnoty, nie mówiąc już o znacznie mniejszej niż np. w dzisiejszej Italii, dbałości o czystość i porządek... Turysta, który spodziewał się ujrzeć tutaj obraz najwyższego wykwintu, rozczaruje się nieco.

Pierwszorzędną natomiast atrakcją są te okolice z punktu widzenia klimatu i możliwości turystycznych. Dogodne połączenia kolejowe i dobrze zorganizowana komunikacja autobusowa łączy bezpośrednio ze sobą miejscowości nadbrzeżne od *St. Raphael* po *Mentonę* i włoską granicę. Znakomicie utrzymane autostrady biegną w głąb lądu ku *Alpom Morskim*. Serpentyny drogi górskie biegnącej z *Grasse*, gdzie znajduje się słynna fabryka perfum, do zawieszonego wysoko na platformie skalistej miasteczka *Gourdon* i fantastycznego wąwozu *Gorge du loup*, zaliczyć można do najpiękniejszych w Europie. To samo powiedzieć można o widoku na miniaturowe księstwo *Monaco* i *Monte Carlo* ze wspomnianej już powyżej drogi *Grande Corniche*. Małe miasteczka prowansalskie, malowniczo rozrzucone wśród skomplikowanej rzeźby terenu — poziomej i pionowej — posiadają swoisty wdzięk. Przedziwne kontrasty morza i gór, ożywczy aromat powietrza, nieporównana łagodność klimatu, wieczna pogoda i słońce w czasie, gdy na Północy panuje zimno, wilgoć, mgła, przenikliwy wicher — oto prawdziwe i nieprzereklamowane wartości i atrakcje lazurowego wybrzeża.

*DR NAŁĘCZ-DOBROWOLSKI*

# NA MARGINESIE WYSTAWY SZTUKI LUDOWEJ W WARSZAWIE



Św. Trójca (drzeworyt) ok. Przasnysza. Muz. Diecez. Płock.

Sztuka ludowa na europejskim Zachodzie oddzielona jest od sztuki oficjalnej, od sztuki konwencjonalnej do pewnego stopnia międzynarodowej — rzec można przepaścią. W większości krajów Zachodu nie istnieje — w innych jest w zaniku, w niektórych jak np. w Skandynawii jest starannie podtrzymywana, właściwie sztucznie wskrzeszana.

Stan ten jest następstwem przekształceń, jakim ulegały społeczeństwa z biegiem stuleci, jest następstwem postępu cywilizacyjnego, rozumianego w sensie rozwoju techniki.

Pierwotnie stan taki nie istniał. Starożytność nie znała tego rozdziału dwóch sztuk, a średniowieczność w znacznej mierze utrzymywała ową harmonijną jednolitość sztuk, jaka ogniskowała się w twórczości artysty — budowniczego — rzemieślnika. Pojęcie artyzmu i rzemiosła, to znaczy twórczości i znajomości fachowej, wcielonej w pracę i materiał, były imponujące i zaznaczyło się w całokształcie działalności artystów-gigantów epoki średniowiecza i początków odrodzenia. Obecnie stan ten poniekąd zauważyć



*Postać kobieca. (drzewo) Łowickie* Muz. Tow. Nauk. Płock.



*Św. Jadwiga (drzewo), pow. świętochłowicki* Muz. Śląskie, Katowice.



*Św. Mikołaj (wapniak) ok. Rawy Ruskiej.* Muz Nac. Ukr. Lwów.

jeszcze można na całym bliższym i dalszym Wschodzie azjatyckim, jak również u ludów nie nasiąkniętych cywilizacją rasy białej.

Maszyna wkraczająca w życie codzienne człowieka rozerwała sztukę twórcy i wykonawcy, oddzieliła nazwami, wypracowała odrębne światopoglądy i wtargnęła niszcząco do najgłębiej kryjącego się indywidualizmu narodowego.

Wobec tego wynaturzenia, jakiemu uległ człowiek z rozwojem mechanicznej pracy — musiała nastąpić reakcja w dziedzinie przede wszystkim ducha w sztuce. Od połowy XIX wieku we Francji i w Anglii obudził się sprzeciw, zwrot do prymitywu, do pierwiastków ludowych jakby powrotna fala romantyzmu — owoc prądów nurtujących w społeczeństwach tych krajów. Objawia się on rehabilitacją średniowieczyzny, przede wszystkim oddając należyty hołd ostrołukowi, zwanego fałszywie gotykiem, jako par excellence stylowi ludowemu średniowiecznej Francji (zasługa genialnego architekta Vienx-le Duca). W Anglii wskutek działalności Ruskina, Dante Gabriela, Rosettiego, Burn-Jonsa, w ogóle całej grupy Prerafaelistów — nastąpiło wycofywanie się z naturalizmu malarskiego, zarzucenie manieryzmu, odrzucenie ostatnich blasków barokowego italianizmu przefiltrowanego przez brunatny sos monachijski — narodziny impresjonizmu francuskiego, słowem modernizmu sztuki. Z czasem modernizm francuski nie znalazłszy dostatecznej podniety i ożywczych źródeł twórczości ludowej własnego narodu, wrogo odnosząc się do ultra naturalistycznej formy — udaje się na wędrówkę po obcych krajach, po egzotyce, ażeby tutaj motywy pierwotnych ludów przetapiać na konwencjonalizm oficjalnej sztuki. Ów prymityw australijski, afrykański, azjatycki lub peruwiańsko-meksykański przeszarżowany w formie, stawał się raczej karykaturą szczerej i naiwnej sztuki barbarzyńcy, jak gdyby się odbicie w krzywym zwierciadle czarownicy i zamiast odświeżyć prostotą i wdziękiem schorzały naturalizm, w większości służył do zakłamania snobistycznego, powiększając coraz więcej chaos w sztuce.



*Św. Rodzina. Obraz na szkle. (Podhale).* Muz. Narod. Warszawa.

Co do naszych stosunków na polu plastycznej twórczości ludowej, to należy dokładnie sobie uzmysłowić, że należymy do szczęśliwych wyjątkowych narodów, posiadających prawie nietknięty olbrzymi skarb twórczości ludowej, ujawnionej przede wszystkim w zdobnictwie i przemyśle domowym, podczas kiedy inne narody Zachodu z trudem starają się bodaj okruchy swej własnej sztuki ludowej muzealnie ocalić i zgalwanizować do praktycznego życiowego użytku.

Niestety nawet bardzo wykształcone warstwy naszego społeczeństwa zbyt mało wnikają w poruszane sprawy i zazwyczaj powierzchownie sądzą, a raczej uogólniają całokształt sztuki ludowej. Architektura ludowa w przeciętnym rozumieniu, to tylko zakopiańska willa, ornamentyka ludowa — to tylko parę typów kogutków, strój ludowy to tylko pasiasty wełniak łowicki, lub pseudo-krakowska sukmana. Tymczasem zakres i różnorodność używania surowca, różnolitość działów sztuki, a w każdym z tych działów wielorakość indywidualnego opracowania i wielorakość technicznych środków — tworzą prawdziwe bogactwo naszej rodzimej sztuki ludowej!




*Św. Józef, (drzeworyt).* Muz Diecez. Płock.

Wszak lud często na malowniczych stokach górskich, czy to na płaszczyznach nizin w oryginalny sposób zastosowawszy do potrzeb klimatu, tworzy własne charakterystyczne budownictwo. — Ściany, szczyty, okna i drzwi chaty ozdabia rzeźbą ornamentacyjną, lub figuralną, wnętrze zdobi snycerstwem, polichromią, zawiesza obrazki malowane na szkle, wycinanki, pająki z papierów kolorowych, firanki z barwnych kawałków materii lub papieru, tkaniny z wzrorzystego lnu naturalnego łączonego z lnem wybielonym, lub barwionym, wreszcie

okrasza kilimami, wełniakami o rozmaitych, zawsze pięknych, motywach. Zresztą każdy sprzęt od łóżka, ławy, skrzyni, półki, skończywszy na narzędziach i naczyniach i na wzorowym stroju, stara się ozdobić więcej lub mniej swoiście. Całość tej sztuki wyraża kulturę samorodną, opartą na tradycjach, na głębokich wartościach etnicznych. Rozwój jej powoduje podniesienie poziomu kulturalnego danego ośrodka, przeciwnie upadek, lub zanik, powoduje zasadnicze zmiany. Wszak np. zamiana tkactwa domowego na system kupna gotowych ubrań jest przyczyną zaniku strojów starodawnych i zmianę fizjonomii całej okolicy.



*Św. Antoni. Obraz współczesny.* Muz. Etnograficzne Kraków.

Stąd nie należy się dziwić, że sztuka nawet fragmentarycznie pokazana — budzi niekłamany podziw i wywołuje gorące dyskusje, słowem staje się przedmiotem żywego zainteresowania.

Wystawę jaką urządzono w budynku IPSU. warszawskiego nie można traktować generalnie jako wystawę sztuki ludowej — jest to właściwie tylko przegląd tejże w bardzo wąskich ramach na odcinku malarstwa i rzeźby. Ponieważ treścią jej jest prawie wyłącznie temat związany z kultem, a formą: malarstwo, grafika i rzeźba — mamy właściwie wystawę religijnego, ludowego malarstwa i rzeźby i tak brzmieć powinien tytuł wystawy Ipsoskiej. Nie chodzi zresztą o nazwę, raczej o treść. Zebrane są obrazy i figurki ludowe z różnych stron Polski, wedle poszczególnych ziem i ognisk sztuki. Wskutek takiego podziału można spostrzedz od razu rzucające się w oczy charakterystyczne znamiona poszczególnych grup. Sztuka ludowa w ogólnym charakterze anonimowa i nieosobowa wyraźnie jednak podkreśla w swej twórczości pierwiastki zachodne i wschodne. Pierwsze objawiają się w zaakcentowaniu do pewnego stopnia dramatu wewnętrznego, drugie skłaniają się ku dekoracyjności formy. Przykładem pierwszego typu są obrazki malowane na szkle, staranne w kompozycji, w kolorze i rysunku jak wizerunek św. Antoniego z Jezusem i Ukrzyżowanie (Pomorze), przykładem drugiego typu: barwne obrazki z Pokucia.



*Św. Marcin.* Muz. Śląskie w Katowicach.

Zaczynając przegląd wystawionych dzieł od zachodniej granicy śląskiej widzimy tutaj oryginalne tło lustrzane np. w obrazie św. Trójcy i interesujące fakturą przedstawienie zaślubin Najśw. Maryi Panny z oblubieńcem św. Józefem. Obok tej techniki dużo malowideł na płótnie. —



*Męczeństwo św. Wojciecha. Płaskorzeźba polichrom. Podhale.*



*Św. Agnieszka.* (Krakowskie), wł. p. St. Dybowskiego, Warszawa.

Najbardziej charakterystyczną techniką malarską *Podhala* jest malowanie na szkle. Technika w zasadzie trudna, wymagająca pewnej ręki przy kładzeniu barwnych płaszczyzn „a la prima", za to posiada swoisty urok zwłaszcza w otoczeniu odpowiedniego tła np. wnętrza izby góralskiej. Wpływ Śląska na Śpisz przebija w kompozycji i technice. Spotykamy się z poprawnością rysunkową i starannie przemyślanym tematem. Tło za-

*Chr. ukrz. z Kraszewa (par. Ciechanów).* Muz. Diec. w Płocku.



zwyczaj lustrzane. Malowidła na szkle są również częstym zjawiskiem w sztuce ludowej Pokucia, biją one w oczy krasotą barw; ornamentyka podobna jak na ceramice. Przeważa typ szematyczny postaci św. Jerzego i św. Mikołaja o wschodnich wpływach etnograficznych. Te same wpływy zresztą widnieją w obrazach tych okolic malowanych na drzewie, przypruszonych patyną lat, co daje wrażenie starych tkanin. Typową kompozycją tej techniki jest wizerunek Chrystusa na krzyżu, po bokach duże postacie Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręce i św. Mikołaja — tuż koło krzyża dwie małe postacie Bogarodzicy i św. Jana. Interesującą ze względu na naiwną prostotę i etnograficzne szczegóły jest malowidło olejne na płótnie (Sanok), wyobraża Chrystusa na krzyżu i klęczącą u jego stóp parę: mężczyznę i kobietę.

Z Polski środkowej pochodzą liczne wyobrażenia Bogarodzicy, malowane już to na drzewie, już to na płótnie, również duże obrazy na papierze, wykonane techniką gwaszową. Bardzo interesującą jest postać Chrystusa podnoszącego rękę z błogosławieństwem greckim i trzymającego kulę ziemską w drugiej dłoni. To malowidło na płótnie przypomina mi podobny przepiękny wizerunek Zbawiciela z kościoła o.o. dominikanów w Krakowie.

Ładne drzeworyty pochodzą z województw północno-wschodnich. Kolorowe druki są tutaj znamieniem wybitnego wpływu zachodniej kultury, jaką Polska wszczepiła w te ziemie, niosąc do nich wraz z chrześcijaństwem skarby duchowe zachodniej cywilizacji. Niezmiernie interesującą grafiką jest wyobrażenie Dobrego Pasterza



*Kobieta klęcząca (drzewo)* Muz Lit. Tow. Nauk. Wilno.



Św. Jadwiga, (pow świętochłowicki). Muz. Śląskie w Katowicach.



M. Boska. Muz. Śląskie w Katowicach.

(Iszkołdź woj. Nowogródzkie, Muzeum w Baranowiczach).

Wielkim wdziękiem i oryginalnymi cechami odznacza się rzeźba ludowa, która przybyła na wystawę ze wszystkich ziem Polski.

O ile pomiędzy malowidłami spotykamy najwięcej obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, to w rzeźbie widnieje najwięcej rozmaitej wielkości figur Chrystusa.

Kapitalnie skomponowaną jest rzeźba z Eliaszówki Wykonane ciekawą techniką sznycerską i interesujące pod względem kompozycji są małe figurki, wyobrażające Matkę Bożą w płaszczu królewskim i koronie na skroniach (Łowicz — Płock). Podhale lubuje się także w drobnych rzeźbach w drzewie. Najczęstszym tematem postać Bogarodzicy. Dużo znajduje się drewnianych krucyfiksów, nieraz bardzo oryginalnie pojętych.

Do najwybitniejszych dzieł dłuta zaliczyć należy wielką polichromową figurę Chrystusa stojącego przed Piłatem. Uderza tutaj misterne wykonanie szczegółów anatomicznych, przede wszystkim zaś wyraz cierpienia na twarzy Zbawiciela. — Drugim nieprzeciętnym dziełem jest przestawienie Trójcy Świętej w rzeźbie drzewnej polichromowanej, wykonanej z jednego pnia. Górująca kompozycyjnie postać Boga Ojca sędziwego starca w królewskich szatach i tiarze na skroniach, który podtrzymuje dłońmi ramiona krzyża z rozpiętym Chrystusem, nad głową Zbawiciela unosi się symbol Ducha Św. — gołąb. Rzeźba jest odblaskiem podobnej rzeźby kamiennej zdobiącej front w dawnym domu sióstr dominikanek w Krakowie.

Trzecim oryginalnym dziełem jest rzeźba w kamieniu wyobrażająca św. Mikołaja (Potylicze pow. Rawski, Mu zeum etnograficzne Lwów). Jest to jakby dalekie

*Trójca Przenajświętsza. Drzeworyty i szkło podmal.* Muz. Ukr. „Bojkiszczyzna", Sambor, pow. Turka.



JÓZEF BIRKENMAJER

# INSPIRATORZY „QUO VADIS"

Sienkiewicz nigdy się nie krył ze źródłami, z jakich korzystał podczas pisania swych powieści historycznych. Jeżeli ze względów typograficznych oraz ze względu na powszechną u czytelników powieści niechęć do „przypisów", rychło poniechał zwyczaju (wprowadzonego przejściowo w pierwszych tomach *Ogniem i mieczem)* notowania tych źródeł *sub linea* tekstu, to jednak nader często, bądź w listach, bądź w artykułach krytycznych, lub felietonach, bądź wreszcie w innych dziełach przy jakiejś okazji lubił zaznaczać, że to i owo źródło dobrze jest mu znane.

Tak było i z *Quo vadis.* O jego źródłach możemy być doskonale poinformowani z pism samego Sienkiewicza. Omawiano nieraz jego własne wyznania na temat tych źródeł, zamieszczone czy to w odpowiedzi, jakiej Sienkiewicz udzielił (w kraju 1901) Galdemarowi, współpracownikowi czasopisma francuskiego *Gaulois,* czy to w liście do Boyen d'Agen *(Kurier Warszawski* 1912), czy w ankiecie *Świata* z r. 1913, czy list do Kozakiewicza, zamieszczony w *Figaro* z r. 1901, czy wreszcie dziesiątki listów prywatnych, w których Sienkiewicz bądź przyznawał się do korzystania z tych lub innych dzieł lub dokumentów, bądź prosił o wypożyczenie tychże, bądź wreszcie wiódł dysputy na temat zawartych tam szczegółów. Ale o niejednym ze źródeł jeszcze dotąd mało się wspomina. Do uzupełnienia też w tej dziedzinie zostało dużo.

Dr Alfons Bronarski, autor znakomitej pracy pt. „Stosunek Quo vadis do literatur romańskich", dotychczas, obok dr Stanisława Pilcha, zajmuje naczelne miejsce na polu badań owej kwestii. Wspomnianą jego książkę pragnąłbym niniejszym uzupełnić jednym szczegółem, a mianowicie rozwinąć podaną tam informację o wpływie, jaki na autora roli, jaką w powstaniu *Quo vadis* odegrały pisma słynnego historyka francuskiego, Pawła Allarda.

Książkę jego *Histoire des persécutions* Sienkiewicz miał w swej bibliotece i wiadomości z niej zaczerpnięte hojnie zużytkował w swej powieści.

O tym trafnie i wyczerpująco pisze dr Bronarski, natomiast bodaj uszedł uwagi tego badacza, że Sienkiewiczowi były dobrze znane także inne prace naukowe Allarda.

Do znajomości tej przyznał się Sienkiewicz przez usta jednej ze stworzonych przez siebie osób, a mianowicie przez usta pani Osnowskiej, występującej w *Rodzinie Połanieckich.* Od razu po zaznajomieniu się z tytułowymi bohaterami tej powieści, Stanisławem i Marynią, już słyszymy od niej, że „zna dzieła Rossiego w przekładzie Allarda".

Pani Osnowska popełnia tu małą nieścisłość, z której sobie zresztą zdawał najzupełniej sprawę sam Sienkiewicz, a którą wprowadził umyślnie, żeby trochę sobie zażartować z pięknej informatorki, bo cały ów epizod *(Rodzina Połanieckich,* t. II, r. XIII) utrzymany jest w tonie z lekka satyrycznym. Jeżeli chodzi o dokładność, to Allard nie był li tylko tłumaczem Rossiego, ale jednym z kontynuatorów, a w pewnej mierze popularyzatorów jego dzieła. W swoich pracach, a zwłaszcza w dziele *Histoire des persécutions pendant les deux premiers siècles, d'après les documents archéologiques, Paris 1885,* cytuje wciąż G. B. Rossiego, nade wszystko zaś jego powieści, która z *Połanieckimi* i z *Quo vadis* wiąże się *La Roma sottoterranea cristiana.*

Rossiego wspomina Sienkiewicz jeszcze w drugiej swej w pewnego rodzaju trylogię nie tylko przez występujące w każdej z nich tło Rzymu, ale i przez wspólny pokład ideowy. Powieścią tą jest *Bez dogmatu.* Jej główny bohater, Leon Płoszowski, mówi o swoim ojcu, że znał Rossiego i zadziwiał nieraz Rossiego znajomością starożytności rzymskich. Z zeznań autora *Quo vadis* wiemy, że sam czytał wszystko, cokolwiek odnosiło się do tych starożytności i w związku z interesującą go epoką Nerona, więc choć nie wiemy, czy i on znał Rossiego osobiście, jednakże wiemy, że z jego pracami naukowymi spoufalony był wybornie.

Nie udało mi się stwierdzić definitywnie, czy dzieło *Roma sottoterranea* czytywał w oryginale włoskim, czy



*Fragment drogi „Grande Corniche".*

tchnienie Wschodu, pokrewieństwo z posągami tz. Bab wywodzących swój rodowód z centralnej Azji. W tym krótkim przeglądzie podałem zestawienie sławnych typów i właściwości techniczne wystawionych dzieł — akcentując również wartości plastyczne, jako rozstrzygający czynnik przynależności tych dzieł do świata sztuki.

Formy zewnętrzne jednak wraz z techniką stanowią w tych dziełach podstawę dla osądu raczej formalnego, konieczne wprawdzie dla systematyki historyczno-estetycznej, nie wyczerpują atoli całokształtu rozważań nad istotą tych dzieł. Rozważania te musiałyby objąć znaczny zasób szczegółów objaśniających społeczne tło, środowisko powstania danego dzieła, względnie historię jednostki twórcy tego dzieła, wszystko razem dopiero jako zwarta całość może być materiałem dla historii naszej sztuki ludowej. Z owych rozważań wynikłoby napewno stwierdzenie ważności moralnych funkcji ludowej sztuki, tak silnie opartej na religijnych uczuciach. A jest to niemały czynnik, słusznie też wyraża się Tadeusz Seweryn, że „w czasach, gdy racjonalizm, pozytywizm i materializm w XIX w. nie zabił jeszcze wiary i nie odarł

też w przekładzie. Są argumenty, przemawiające za jednym i drugim przypuszczeniem. Jeżeli przyjmiemy drugą ewentualność, to mniemać należy, że miał chyba w rękach wydaną w jednym czasie z *Historią* Allarda przeróbkę dzieła Rossiego, noszącą tytuł: *Rome souterraine. Resum des découvertes de M. de Rossi dans les catacombes romaines, et en particulier dans le cimetière de Calliste par J. Sp. Northcote et W. R. Brownlow, traduit de l'anglais, avec des additions et des notes, et augmenté d'un supplement par le traducteur.*

Zresztą sprawa ta nie gra w danym wypadku wielkiej roli. Ponieważ w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do Rossiego, więc wolę posłużyć się tekstem oryginalnym, włoskim, a mianowicie wydaniem, które wyszło w trzech wielkich tomach, w latach 1864, 1867 i 1877, pt. *Roma sottoterranea, descritta ed illustrata dal Cav. G. B. De Rossi, pubblicata per ordine della Santità di N. S. Papa Pio Nono, Roma.*

Nie zamierzam niniejszym dawać wyczerpującego wykazu szczegółów, jakie Sienkiewicz zawdzięczał Rossiemu. Co do wielu szczegółów wyręczyli mnie już dawno inni, zwłaszcza znakomity archeolog Orazio Marucchi, który napisał specjalną rozprawę o świecie katakumb w arcydziele Sienkiewicza; rozprawa ta znajduje się dziś na czele wielu włoskich przekładów *Quo vadis.* Chcę więc tylko zwrócić uwagę na parę najważniejszych momentów całego utworu, które Sienkiewicz przejął właśnie z dzieła Rossiego. Momentami tymi będą przede wszystkim zapoznanie się Winicjusza z Lygią oraz uratowanie Lygii przez Ursusa.

Chcę o nich mówić i dlatego, że ich znaczenie było nieraz komentowane trochę dowolnie.

Decydującym czynnikiem w dziejach Winicjusza i Lygii jest symbol ryby, oznaczający wiarę chrześcijańską. Symbolem tym Rossi zajmował się obszernie na kartach swego dzieła (t. I 349 — 350), oraz wcześniej jeszcze w rozprawie *De christianis monumentis IX-YN exhibentibus.* Podawał tam m. in. różne interpretacje, jakie snuto na temat owego symbolu; echo tych interpretacji spotykamy zaraz w pierwszej rozmowie Winicjusza z Petroniuszem.

Od Rossiego też wziął Sienkiewicz imię Ursusa. Imię to występuje niejednokrotnie w instkrypcjach katakumbowych; spotykamy je kilka razy w III tomie *Rzymu podziemnego.* Oto jak brzmi epitafium z roku 367:

IVLIAE BENEMERENTI QUE VIXIT ANN DVO MENSIS VI DXV DEPXKALIVN LUTICINO ET IOBINO CONSS... PARENTIS URSUS ET SEBERANE ET SIBI.

W innym, szczątkowym epitafium mamy wiadomość: quiescit VRSVS IN PACE, vixit ann. VII XP.

W innym znów czytamy: VRSO MALLUSA.

Oczywista rzecz, że często to imię chrześcijańskie, od którego wywodzi się zresztą opromienione tyloma blaskami legendy i poezji imię świętej chrześcijańskiej, *Ursuli,* w spolszczonej formie brzmiące *Urszula* i *Orszula* (ta, co to „perła rozsnuła"), musiało się Sienkiewiczowi spodobać i dlatego, że oznaczało „niedźwiedzia", a takich niedźwiedziatych bohaterów szczególnie umiłował, że wspomnimy tego bohatera, który na równi z Ursusem ma „nazwisko mówiące": Longinus Podbipięta.

Ale z imienia tego nie należy wysnuwać zbyt daleko idących wniosków, jak to uczynił w swym prześlicznym i naprawdę głębokim szkicu o Sienkiewiczu prof. Tadeusz Zieliński, gdy — idąc za hipotezą prof. S. Ptaszyckiego — utożsamił czy zestawił Ursusa z pierwszym polskim historycznym władcą, Mieszkiem. Aczkolwiek bowiem Sienkiewicz istotnie w *Quo vadis* przeprowadza analogię do Polski, to jednak w analogii tej chodzi mu nie o Polskę dawną, lecz o jemu współczesną, tę która cierpiała prześladowanie ze strony caratu. Sam przecie powiedział, że pierwszy pomysł *Quo vadis* poddały mu nie tylko płótna Siemiradzkiego, ale i prześladowanie Unii na rodzinnym jego Podlasiu.

Studiowanie dzieł Rossiego i Allarda nie tylko dało Sienkiewiczowi mnóstwo szczegółów potrzebnych do napisania najsławniejszej polskiej powieści, ale ponadto skierowało jego umysł w stronę różnych źródeł starożytnych przede wszystkim zaś Ojców Kościoła. O zużytkowaniu przez niego tych źródeł można by napisać sporą rozprawę.

---

ducha religijnego ze szczerej naiwności, obraz nie tylko wytykał kierunek zasyłanym modłom — ale stanowił ostoję wielu spraw ludzkich niewidzialnymi nićmi zbliżających do siebie ludzkie gromady" *).

Zaznaczyłem na wstępie, że wystawa zawierała pokaz fragmentu sztuki ludowej, pewnego pod względem treści, i okresu czasu, obejmuje bowiem tylko epokę dojrzałości sztuki ludowej wieku XIX. Gdybyśmy mogli ujrzeć kiedyś razem zebrane w oryginałach, częściowo, w reprodukcjach obrazy i rzeźby religijne istotne prymitywy z czasów średniowiecza, kolebki chrześcijańskich form etnograficznych — dzieła epoki baroku „który najsilniej oddziałał na charakter naszej plastyki ludowej", następnie obrazy fabrycznej produkcji i ryciny w modlitewnikach, żywotach świętych i wydawnictwach popularnych, małe obrazki dewocyjne, obrazy grafiki miejskiej i ludowej wreszcie same już ludowe malowidła i rzeźby, samoistne, lub związane z kapliczkami i krzyżami przydrożnymi, wówczas dopiero na tle całości tak zebranej moglibyśmy sprostować niejeden sąd fałszywy, niejedną uwagę krytyczną o sztuce ludowej i ocenić cały czar poetyczny ludowego artyzmu. Musielibyśmy jeszcze uzupełnić taki pokaz utworami sztuki wyłącznie świeckiej, zatem wzorami kołtryn stojących na pograniczu rzemiosła i sztuki ludowej, ekranami odpustowymi i dekoracyjnymi zwłaszcza Żłóbka, i Grobu Pańskiego. Pozostałyby jeszcze na boku wyroby przemysłu i rzemiosła ludowego, w dziedzinach, stolarstwa, tkactwa, ceramiki, kowalstwa, ślusarstwa i w wielu innych gałęziach — cały ogromny dział zdobnictwa ludowego obejmującego: wyroby z mchu, szyszek, kory drzewnej, słomy, papieru, sztuczne kwiaty, palmy, królestwo barwnej wycinanki i pisanek. Każdy z tych działów o ile byłby starannie zorganizowany, mógłby stanowić treść poważnej wystawy — cóż mówić o całym zespole wszystkich gałęzi i technik. To tylko na papier rzucone marzenie...

W każdym razie i za ten fragment, który oglądaliśmy na obecnej wystawie należy wyrazić serdeczne podziękowanie za trud i staranie jej organizatorom.

*) Tadeusz Seweryn: „Polskie malarstwo ludowe". Kraków 1937 r. str. 65.







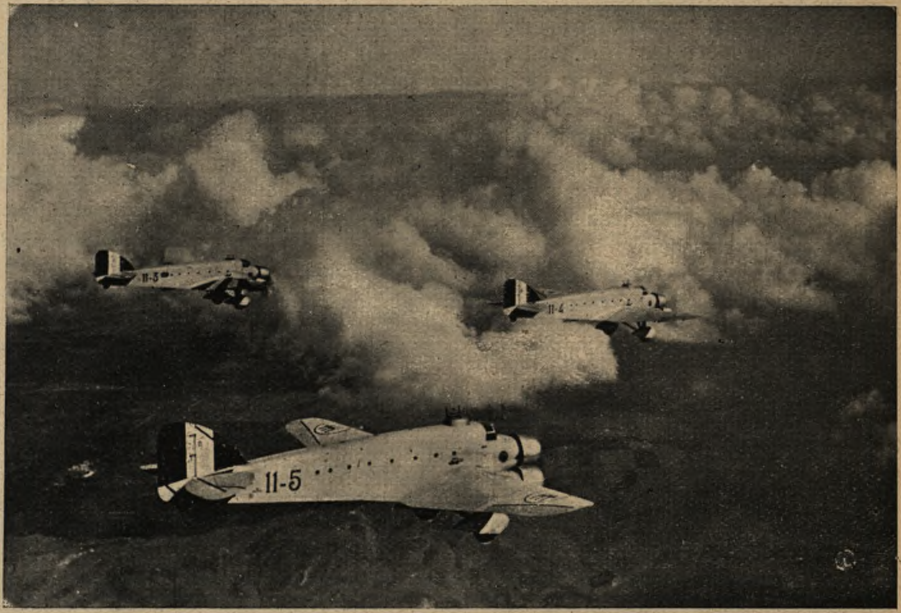
**U góry na lewo:** *Pawilon „Myśliwego Rzeszy" na wystawie w Berlinie.*

**Na lewo w środku:** *Ks. d'Aosta, wicekról Abisynii.*

**U dołu na lewo:** *Nowy gmach ministerstwa lotnictwa włoskiego w Rzymie.*

**U dołu na prawo:** *Nowy polski kontrtorpedowiec „Błyskawica" opuszcza stocznię angielską.*

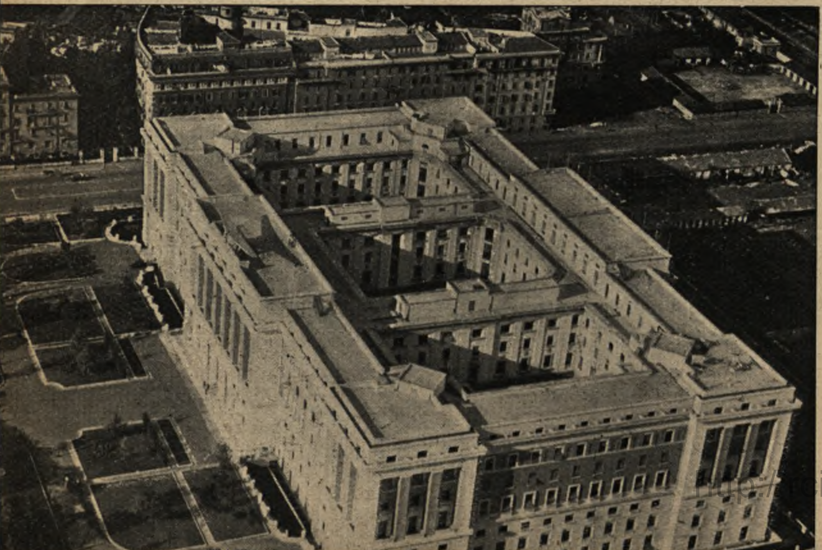





**U góry z prawej:** *Wojska japońskie na Dalekim Wschodzie.*

**II-ga na prawo:** *Królowie Anglii Jerzy VI i Belgii Leopold III na ulicach Londynu.*

**III-cia na prawo:** *Trzy najnowsze włoskie statki powietrzne.*









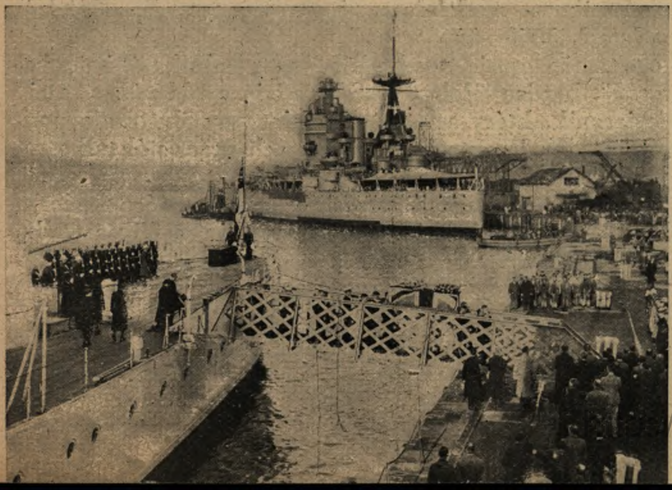


U góry na lewo: *Pawilony Międzynarodowej Wystawy Myśliwskiej w Berlinie.*
II-ga na lewo: *Minister Yvon Delbos przed wyjazdem do Polski.*
III-cia na lewo: *Pawilon polski na wystawie myśliwskiej w Berlinie.*
U dołu na lewo: *Pogrzeb Macdonalda.*





U góry na prawo: *Trofea myśliwskie z b. niemieckich kolonii.*
W środku na prawo: *Wicekról na złotym jubileuszu jednego z maharadży Indii*
U dołu z prawej strony: *Strasse der Nationen na wystawie w Berlinie.*





ZOFIA ZALESKA

# PISMA DLA DZIECI W POLSCE

Do r. 1824 dzieci polskie i starsza młodzież wcale pism dla siebie odpowiednich nie miały. Znane były wprawdzie tłumaczenia niemieckich pism dla dzieci, ale wydawano je w formie książek i — rzecz prosta — nie było w nich nic, co rozwijało ducha patriotycznego i zaznajamiało z historią Polski i jej kulturą. Dopiero autorka pierwszych dzieł o wychowaniu dziewcząt i reformatorka całego szkolnictwa żeńskiego w Polsce, Klementyna Tańska (późniejsza Hofmanowa) wpadła na pomysł, który w „Pamiętniku" swoim tak tłumaczy:

„Od wielu osób słyszałam, że najkorzystniejszą gałęzią literatury są pisma periodyczne dla dzieci; dręczona więc chęcią wynagrodzenia matce, co utracić miała *) przyszło mi na myśl wydawać pismo periodyczne dla dzieci; plan-prospekt w momencie napisałam; radziłam się matki, rodziny całej, Wyszkowskiego; wszyscy mój zamiar pochwalili, a ja dalejże pchnęłam go do gazet i ogłosiłam prenumeratę: od 1-go stycznia wychodzić będzie co miesiąc numer jeden pt. „Rozrywki dla dzieci".

Jak były przez czytelników przyjęte te „Rozrywki", o tym znajdziemy świadectwo u Kaz. Wł. Wójcickiego, który (w dziele „Niewiasta Polska w początkach naszego stulecia 1800—1830" wydanym w r. 1875 — patrz Biblioteka Krasińskich) pisze:

„Żadne z pism periodycznych literackiej treści z tego okresu nie miało świetniejszego powodzenia, serdeczniejszego przyjęcia, niż te „Rozrywki", żadne też nie wywołało potężniejszego wrażenia na młode pokolenie. W kółkach rodzinnych, zarówno doroślejsza nieco dziatwa, jak młodzież płci obojej, matki rodzin, starcy, jak literaci, wszyscy ochotnie nie tylko je czytali, ale na każdy zeszyt z utęsknieniem oczekiwali".

Układ każdego zeszytu „Rozrywek" był jednakowy: zaczynały go „Wspomnienia z lat dawnych, zawierające życiorysy sławnych Polaków lub opowiadania z ich życia, opisy krajoznawcze i opowiadania z historii Polski — potem szły powieści — poezje — zabawy dla dzieci — wypisy z literatury polskiej — opowiadania prawdziwe z życia dzieci — rozważania na tematy wychowawcze.

Młoda redaktorka na wstępie pierwszych zeszytów zamieściła pt. *Przejażdżki po kraju naszym* swoje opisy Puław, lubelskiego, Podlasia, krakowskiego, sandomierskiego, Nieborowa i Arkadii. Wójcicki pisze o tych artykułach:

„Liczni zwolennicy francuszczyzny z niedowierzaniem je brali do ręki, a odczytując z niesłychanym zajęciem, nie mogli swego podziwu zataić, że tyle kraj własny, tak sponiewierany przez nich, może dać treści bogatej. Autorkę nie tylko gmachy i zamki, możne rody i dwory zajmują, ale zwraca ona pilną na lud wiejski uwagę, bada jego zwyczaje, sposób życia, zbiera charakterystyczne rysy, jak i pieśni obrzędowe spod wiejskiej strzechy".

Równie cenione były zamieszczone w „Rozrywkach" dwie powieści Tańskiej, pisane przez nią wedle mody ówczesnej w formie listów: *Listy Elżbiety Rzeczyckiej* i *Dziennik Franciszki Krasińskiej*.

W wypisach z literatury polskiej dawała redaktorka wyjątki z pism Reja, Górnickiego, Frycza Modrzewskiego, Orzechowskiego, Klonowicza, Skargi, Stanisława Lubomirskiego, Andrzeja Maczuskiego i Ignacego Włodka, przy każdym autorze zamieszczając krótki życiorys i objaśnienie, jakie dzieła zostawił.

W dziale wychowania zamieściła 32 swoje *Listy o wychowaniu*, odnoszące się do wychowania dziewcząt, poza tym dawała wyjątki z obcych autorów. (Brak było wtedy w polskiej literaturze dzieł pedagogicznych).

Całe pismo zapełniała sama, wyjątkowo zamieszczając czasem prace Łukasza Gołębiowskiego z dziedziny historii lub poezje Wyszkowskiego, Brodzińskiego i Góreckiego.

Piotr Chmielowski pisze o „Rozrywkach" (w dziele swym „Autorki Polskie XIX wieku"):

„...pomimo braki, jakie nam łatwo dzisiaj wskazywać, zarówno pomysł Tańskiej, jak świetne jego urzeczywistnienie, miały pierwszorzędne znaczenie w rozwoju naszego piśmiennictwa wychowawczego. „Rozrywki" wychodząc przez lat 5 tak silnie rozbudziły poczucie potrzeby czasopisma dla dzieci, tak umiejętnie potrafiły je zadawalać, że odtąd wśród zmieniających się, a nieraz nader ciężkich warunków zewnętrznych, nie można już było pozbyć się myśli wydawania podobnego pisma".

Toteż, gdy Tańska za mąż wychodząc ogłosiła, że wskutek innych zajęć, jakie na nią spadają, pisma dalej wydawać nie będzie — zaraz podjął się tego Ignacy Chrzanowski, który zaczął wydawać „Tygodnik dla Dzieci". Pismo jego trwało jednak tylko jeden rok 1829. Do tych działów, jakie były wprowadzone przez Tańską, dodał Chrzanowski 2 nowe: przegląd nowych ksiażek dla dzieci i opowiadania przyrodnicze.

W tymże roku wydawała też drugie pismo „Rozrywki dla Dobrych Dzieci" ruchliwa wydawczyni, pierwsza polska redaktorka pisma dla kobiet — Wanda Malecka z domu Fryze, żona kapitana wojsk polskich, która zawodowo zajmowała się czasopiśmiennictwem, poza tym wydawając wiele tłumaczonych z obcych języków powieści.

W r. 1830 przed powstaniem rozpoczął bajkopisarz Stanisław Jachowicz wydawnictwo „Dziennika dla Dzieci". Było to pismo... codzienne, nie wychodziło tylko w święta. Jachowicz wprowadził w nim drukowanie utworów młodziutkich swych czytelników, których gorliwie do pisania zachęcał. — Pod koniec już roku ukazały się w tym „Dzienniku" artykuliki podpisane literkami E. G. Tytuły ich: *O historii polskiej* — *Odezwa do kobiet za mową ojczystą* — *O nagrodach pieniężnych za chlubne postępki*. Autorką ich była ówczas 12-letnia Eleonora Gagatkiewiczówna, słynna później Eleonora Ziemięcka — pierwsza polska filozofka, redaktorka „Pielgrzyma (w latach 1840—1848) i „Noworocznika — Kalendarza ilustrowanego dla Polek") (w latach 1860—1865).

W tymże czasie wychodził dwutygodnik „Ziemiomysł" bardzo słaby i „Skarbiec dla Dzieci" miesięcznik, który wprowadził pierwszy ilustracje pouczajace. Wydawany był w Puławach przez pół tylko roku 1830.

Wszystkie te pisma przestały wychodzić z końcem roku: — powstanie skierowało wszystkie myśli na walkę o niepodległość.

(D. n.)

*) Matce jej miano znacznie obciąć pensję wdowią.

# KOLONIA AKADEMICKA W ORŁOWIE MORSKIM

Nareszcie po egzaminach! Rzuciłam skryptami, notatkami i książkami w kąt, aż jęknęło, zwinęłam w piękną laurkę dyplom magisterski i oddawszy go pod opiekę całego sztabu ciotek i kuzynek, zaczęłam rozmyślać, jak spędzić ostatnie już wakacje.

Ciocie wspaniałomyślnie zostawiły mi prawo wyboru, więc zadecydowałam zakończyć swój żywot studencki przykładnie i wzorowo i wyjechać na kolonie akademickie.

Zaczęłam przeglądać prospekty i zbierać informacje zwłaszcza o koloniach nadmorskich, wreszcie trafiłam na coś, co mnie szczególnie zainteresowało: „Akademicka Kolonia Wypoczynkowa w Orłowie Morskim, urządzona staraniem Bratnej Pomocy Zrzeszenia Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej, oraz Związku Pensjonatów Nadmorskich Koło Orłowo”.

Przypomniałam sobie jak w zeszłym roku będąc w Orłowie, musiałam wyrzec się kąpieli; w morzu tak było zagazowane czosnkiem i cebulą z wytwórni nalewkowskich i jak różne Fele i Heńki, świeżo przerobieni z Fajgieł i Herszów z oburzeniem patrzyli na każdego „goja”, który swym widokiem przerywał im słodkie marzenia o nadbałtyckiej Palestynie.

W wyższej szkole dziennikarskiej, gdzie zgłosiłem się po informacje, udzielono mi ich bardzo życzliwie; „bo rozumiecie koleżanko, że im nas będzie tam więcej, tym mniej będzie miejsca dla dotychczasowych okupantów Orłowa”. — „Tak, doskonale — biegnę do koleżanek, zachęcam i wreszcie całą paczką jedziemy.

Na dworcu, przemykając się wśród tłumu zacebulonej publiczności słyszę urywki rozmowy:

— Servus, Heniek, jedziesz do Orłowo?

— No daj ty mnie żyć. Co ja potrzebuję narażać się co? Te paskudniki musiały tam założyć kolonie.

— Jakie kolonie? Co ty idziesz mnie bujać?

— Żebym tak zdrów był, co my im tego nie darujemy takie miłe miejscowość, takie „łażenki”, takie plaże i do Gdynie blisko, można było interes zrobić, a dziś co?

W pociągu tłok niemożliwy, stoję tylko na jednej nodze, lecz utrzymuję równowagę w tłumie koleżanek i kolegów. Jakiś pejsaty Żyd pcha się przemocą:

— Nu ma interes do tamten wagon — popierają go współwyznawcy.

— Niech pan poczeka, aż kto wysiądzie, tam nie można przejść.

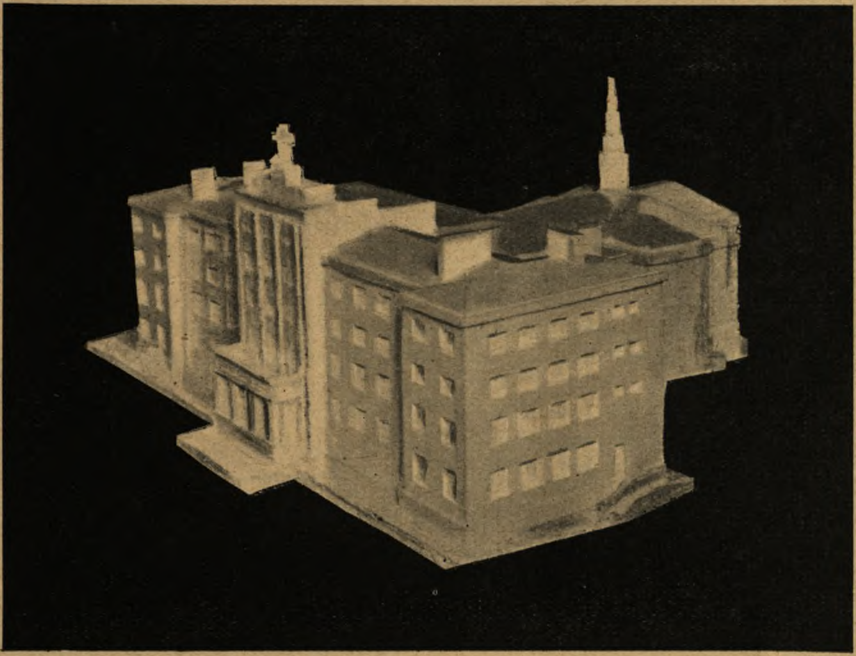
— Nu, co nie można przejść, ja płacę „bulet” to ja mogę przejść choćby po głowie.

— Dawać go tu górą! — i już blady ze strachu syn Izraela wędruje przerzucany z rąk do rąk pod samym sufitem wagonu.

— A gdzie pana pakunki? — pyta ktoś usłużny i już w ślad za Żydkiem lecą węzełki.

— No zmykaj pan — woła ktoś inny, otwierając drzwi sąsiedniego wagonu — a nie wracaj, bo każemy sobie podwójnie zapłacić za transport.

W doskonałym humorze wysiadamy na stacji Kolibki-Orłowo. Wita nas Zarząd kolonii. Koleżanki zostają ulokowane w jednym pensjonacie, koledzy w hotelu „Orłowo”, gdzie również mieści się Zarząd.



*Projekt budowy Domu Studiów czyli Misyjnego Seminarium w Ołtarzewie pod Warszawą. Dom jest przeznaczony dla kleryków Stowarzyszenia Misyjnego Księży Pallotynów, wydawców „Rodziny Polskiej”. Tutaj klerycy odbywać będą sześcioletnie studia filozoficzno-teologiczne. Stąd wyruszać będą młodzi, pełni zapału i poświęcenia misjonarze na zagrożone kresy wschodnie, na szerokie łany wychodźtwa polskiego, aby pogłębiać wiarę, niecić miłość, a zbolałym duszom przynosić radość i pokój Chrystusowy. Dom do połowy już jest wzniesiony głównie z ofiar społeczeństwa. Redakcja „Rodziny Polskiej” zwraca się z gorącym apelem do Szanownych Czytelników, aby i Swoją cegiełką zechcieli łaskawie przyczynić się do budowy tego monumentalnego gmachu. Łaskawi ofiarodawcy wpisywani są do złotej księgi. Co miesiąc odprawia się za nich jedna Msza święta. Ofiary prosimy wysyłać na konto czekowe P. K. O. 66.338 pod adresem: Seminarium Duchowne Księży Pallotynów, Ołtarzew, p. Ożarów Warsz.*

Jeszcze tego samego dnia idziemy nad morze. Na ciemno szafirowej gładkiej toni zatoki chwieją się białe żagle i migają różnobarwne jak kwiaty kajaki. Z nadbrzeżnych wzgórz płynie ku nam balsamiczna woń świerków i jakby w powitalnym ukłonie chylą się wierzchołki starych sadzonych jeszcze ręką Sobieskiego drzew kolibkowskiego parku. Wesoły gwar młodych głosów miesza się z piosenkami głośnika na plaży i rykiem syreny odjeżdżającego statku.

Zwiedzamy po kolei różne plaże, aby wybrać najdogodniejszą, po lewej stronie mola ciągnie się aż do Gdyni dzika plaża, po prawej — piękne łazienki miejskie, następnie kolibkowskie, a dalej aż do Sopot znów dzika plaża.

W łazienkach miejskich obrzucają nas nieufnym i trwożnym spojrzeniem resztki „machabeuszów”, którzy pamiętając zeszłoroczny raj przybyli tu niebacznie. Bez śladu znikł ich tupet i zuchwałość. Lokują się przeważnie w bocznych uliczkach Orłowa i tymi uliczkami nieśmiało zdążają na plażę. Rani ich nasza wesołość i gnębi myśl, że za rok będzie nas tu jeszcze więcej. I teraz codziennie przybywają nowe partie, jest już przeszło 200 osób. Więc „biedni, pokorni Żydkowie” zaczynają walkę podjazdową. Wysyłają anonimową depeszę do pani Z., (głównej inicjatorki kolonii ze strony Pensjonatów Nadmorskich Koło Orłowo) i grożą jej połamaniem żeber, o ile nie odstąpi od tej akcji. Zarzucają jej, że przez nią Orłowo upada, pensjonaty stoją pustkami, a ich właściciele umierają z głodu, bo „nikt” nie chce przyjechać.

Te groźby jednak nie przerażają nikogo. Cała nasza kolonia wędruje spokojnie pod willę pani Z., tam nasi delegaci wyrażają jej uznanie, składają podziękowanie i zapewnienie, że nie dadzą jej zrobić krzywdy.

Szczera, dobra twarz pani Z. rozjaśnia się uśmiechem, gdy odpowiada nam, że groźby te jej nie przerażają i, że dzięki nim stała się sławną.

— Drodzy moi, najlepszą nagrodą jest dla mnie to, że tu jesteście, że mimo wszystkich przeszkód udało nam się zorganizować tę kolonię. W zeszłym roku również były tu różne kolonie młodzieży, lecz niestety, niepolskiej. Daj Boże, aby za rok przybyło was tu jeszcze więcej. Wypoczywajcie i bawcie się wesoło. Niech żyje młodzież polska!

— Niech żyje pani Z.... wzniosły się okrzyki, a w niebo popłynęła pieśń: „Idziemy razem w skier powodzi”.

Nasze spokojne, lecz stanowcze stanowisko irytowało Żydów do tego stopnia, że nawet w gazetach gdyńskich zamieścili notatkę o pobiciu jakiegoś spokojnego Żyda przez dwu rzekomo studentów. W istocie było w tym tyle prawdy, że Żyda pobito, a sprawcami byli nie studenci, lecz jacyś pijani „gentelmani” nieokreślonego pochodzenia.

Zarząd nasz zaraz na wstępie surowo zabronił wszelkich wystąpień przeciwko Żydom i wszyscy ściśle stosowali się do tych wskazówek. Mimo to sam nasz widok sprawiał im przykrość, bo gdy w zeszłym roku było ich tu 85%, to w tym roku zaledwie 45%, a da Bóg za rok i ci nie zjawią się.

*J. M.*

# MAMO, MNIE SIĘ NUDZI!

„Mamo, mnie się nudzi!" „Mamo, co ja mam teraz robić?" — to takie częste, smutnym głosikiem wypowiadane skargi, najczęściej w chwili dla mamy najmniej odpowiedniej. Rozdrażnienie, a często rzeczywiste zmęczenie i troski wywołują odruchowe „Daj mi spokój".

Za chwilę wymiana podrażnionych zdań zamieni się w poważniejsze nieporozumienie, bo zawiedzione oczekiwanie, żal do matki i nuda. to źli towarzysze i doradcy. I oto następuje jedno z przewinień dziecka, które schwyciło to, co „nie jest dla niego", które zepsuło coś potrzebnego, które naśmieciło czy rozlało wodę, bo przecież małe rączki muszą być wciąż w ruchu, muszą zdobywać sobie nowe doświadczenia życiowe. To ich prawo, to konieczny warunek rozwoju dziecka, i źle jest jeśli dlatego popada w konflikt z otoczeniem, przestaje rozumieć, co ma robić i dlaczego wciąż czegoś „nie wolno".

Trudno się dziwić i matce, która zapracowana, wyczerpana nie ma ani czasu, ani potrzebnej dla dziecka wyrozumiałości, a chciałaby jakiś porządek, jakiś ład w domu utrzymać. Trzeba znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Takim rozwiązaniem sprawy jest oddanie dziecka do przedszkola.

Tam wszystko jest dla dziecka i z myślą o nim zorganizowane. Czekają na nie małe stoliki i małe krzesełka, szafy, które można samemu otwierać, i wiele, wiele materiału do tej swobodnej doświadczalnej działalności dziecka, którą przywykliśmy nazywać zabawą, w odróżnieniu do naszej „pracy".

Dla dziecka jednak wszystko, co ono robi, to zajęcie poważne, wymagające wysiłku. A celem tych wysiłków, nie uświadamianym sobie zresztą przez dziecko, jest poznanie tego wielkiego nieznanego, jakim jest świat otaczający, jest rozwój własnego psychofizycznego organizmu.

Trzeba więc przede wszystkim poznać właściwości przedmiotów, nauczyć się rozróżniać powierzchnię, kształt i ciężar, barwę, wielkość, smak nawet, trzeba wypróbować spadanie różnych rzeczy i poznać rozmaite hałasy. Te tzw. przez wiedeńską uczoną Ch. Bühler „manipulacje", które obserwujemy u dzieci, nazywając je „zabawą", wymagają materiału, na razie nawet niekosztownego, lecz umiejętnie i celowo dobranego. Inaczej dziecko, które wrodzony instynkt popycha do poznania rzeczy, zainteresuje się z konieczności materiałem nieodpowiednim, psując w domu wszystko, co mu w rękę wpadnie.

Nie grozi mu to niebezpieczeństwo w przedszkolu. Tam różnorodny materiał do doświadczeń ma na miejscu, a jeśli dziecko, zbałamucone przesadną opieką w domu, nie potrafi sobie samo nic wybrać, dopomoże mu dyskretna pomoc wychowawczyni i widok zajętych rówieśników.

W przedszkolu czeka na dziecko grupa towarzyszy; to nie zaproszeni goście, wyjątkowo, z racji jakiejś uroczystości: to równoprawni, codzienni współtowarzysze. Dziecko wchodzi w życie grupy; nowe i bardzo cenne doświadczenie życiowe.

W domu jest się zawsze albo najstarszym, albo najmłodszym, czasem jedynakiem, i jak się już raz tak zdarzyło, to nie ma na to rady. Albo się zawsze przewodzi, albo zawsze „jesteś za mały", a jedynacy są zawsze skłonni uważać siebie za słońce, koło którego świat się kręci. Tymczasem w przedszkolu zdobywa się nie byle jakie doświadczenie. Inne dzieci mają te same prawa, co i ja, a ja mam te same, co i one obowiązki. To w pewnych wypadkach prawdziwa rewelacja dla dziecka. I są w tym przedszkolu małe dzieci, słabe, niezgrabne, którym trzeba pomóc, choćby w domu wszystko gotowe podawano; są starsze, którym to jakoś nie imponuje, że w domu się było najstarszym.

Umiejętność współżycia w grupie nie jest rzeczą łatwą, ale jest koniecznością życiową i może lepiej, że ją dziecko zdobędzie w atmosferze swobodnego wysiłku, w sali pełnej zabawek i pod kierownictwem wychowawczyni, która dyskretnie, łagodnie kieruje dziećmi, nie narzucając im zajęć, a jak najszerzej uwzględniając ich zainteresowania. W klasie szkolnej, gdzie sprawom wychowawczym z konieczności trzeba poświęcić mniej czasu wobec programu, który musi być przerobiony, trudniej jest dzieciom wejść w życie grupy.

Minęły już czasy, gdy dzieci w przedszkolach musiały pod dyktando wychowawczyń budować, przeplatać czy rysować, jak to miało miejsce jeszcze nie tak dawno, gdy stosowano spaczoną metodę Froebla. Nasz polski indywidualizm nie przyjął też w całości metody Montessori z jej suchym materiałem dydaktycznym. Dzisiejsze przedszkole idzie po linii wykorzystania zainteresowań dziecka, po linii jego swobodnej działalności, która jest koniecznym warunkiem pełnego rozwoju przyszłej osobowości, uznając zasadę, że dzieciństwo to nie tylko przygotowanie do życia, to ważny okres życia samego.

Dzisiejsza psychologia i pedagogika kładą słuszny nacisk na pierwsze lata dziecięce, badania ich dowodzą, że wpływy wychowawcze w tym okresie są najsilniejsze i decydują o całej linii życiowej.

Rodzina w najlepszych nawet warunkach i przy najlepszej woli, nie jest w stanie dać możliwości tak różnostronnego rozwoju jak przedszkole.

Coraz więcej przy tym ludzi zaczyna rozumieć, że macierzyństwo ani ojcostwo nie daje jeszcze patentu na pedagoga, że miłość dla własnego dziecka nie pokryje całkowicie braku umiejętności. Serdeczny zaś stosunek dziecka do rodziców może być jeszcze spotęgowany parogodzinną rozłąką, podczas której nerwy matki odpoczną.




## ZE SPRAW RODZINY

**Na szerokim świecie.**

Tak jak pisaliśmy na początku 1936 r., Ustawodawstwo Kobiece (Statut de la Femme) postępuje stale naprzód. Liga Narodów, która od szeregu lat zajmuje się projektem ramowej ustawy dla potrzeb całego świata, otrzymała od „Międzynarodowej Unii Katolickich Lig Kobiecych" Memorandum, które nie zamierzając objąć całokształtu zagadnień, chce zaznaczyć stanowisko Międzyn. Unii w kilku zasadniczych punktach. Memorandum to brzmi jak następuje:

„Jest rzeczą oczywistą, że prawne uregulowanie stanowiska kobiety jest w wielu krajach niezbędne. Gdy w niektórych krajach kobieta, nawet pełnoletnia, jest pozbawiona wolności osobistej, lub nawet cierpi poniżający stan niewoli, to w innych prawodawstwo daje jej tak nieograniczoną wolność — nawet w małżeństwie tak absolutną niezależność finansową, że stan ten zagraża nienaruszalności i nierozerwalności rodziny. W innych znów krajach prawo utrzymuje stan nieuzasadnionej nierówności między kobietą i mężczyzną, stawiając kobietę zamężną w stan niższości, pomiatający jej godnością osobistą, równający ją z nieletnimi wobec praw życia cywilnego.

„Zarząd Miedzyn. Unii Katolickich Lig Kobiecych uważa, że prawodawstwo, które dążyłoby do zepewnienia kobiecie należnego jej w świecie stanowiska, powinno by wziąć pod uwagę następujące punkty:

„Kobieta jest osobowością ludzką stworzoną dla celu sobie właściwego, (osobowego), do którego ma prawo i obowiązek dążyć swobodnie.

„Różnice fizjologiczne i psychologiczne między mężczyzną a kobietą nie stanowią o żadnej niższości, lub wyższości stron, natomiast odrębność uzdolnienia harmonijnie wpływa na różnorodność funkcji o tej samej wartości. Szczęście tak mężczyzny, jak i kobiety, a równocześnie szczęście całej ludzkości, wymaga od każdego z nich stałego nastawienia, w kierunku dobra ogółu, przez służenie ogółowi zdolnościami, udzielonymi im przez Stwórcę.

„Służba ludzkości będzie o tyle realną i pełną, o ile tak mężczyzna, jak i kobieta, wniosą do społeczności ludzkiej we wszystkie dziedziny życia, te odrębne i swoiste wartości swych uzdolnień — które są właściwościami ich odrębnych natur. Co się tyczy rodziny, głównej podstawy społeczeństwa to: dobro tego społeczeństwa, dobro mężczyzny i kobiety, związanych małżeństwem, dobro dzieci:

1) wymaga jedności, stałości i nierozerwalności związku małżeńskiego,

2) wymaga współdziałania obojga małżonków w kierownictwie instytucją rodziny i w dziele wychowania młodzieży.

3) wymaga działalności, uzupełniającej się wzajemnie, tak mężczyzny jak i kobiety w życiu społecznym, dla dobra ogółu.

„Z powyższego wynika, że prawodawstwo winno:

1. „Zapewnić kobiecie wolność, zgodną z jej naturą i odpowiadającą jej godności osobistej, wolny wybór kierunku jej życia, a jeżeli wybierze stan małżeński, wolny wybór współtowarzysza życia, poszanowania należnego jej prawa zarobkowania na życie przez odpowiednie wynagrodzenie jej pracy.

2. „Uznać w zasadzie równość praw moralnych dla obojga płci.

3. „Przyjąć takie stanowisko, aby kobieta nie była nigdy pozbawioną przynależności państwowej, aby w razie małżeństwa zachowanie tej przynależności państwowej lub jej zmiana, była zależną od jej woli, i aby dla przyszłych małżonków o różnej przynależności państwowej przewidzianą była możliwość dla każdego z nich przyjęcia przynależności państwowej swego współmałżonka. W zasadzie bowiem, normalnym stanem jest, aby cała rodzina miała jedną i tę samą przynależność państwową, i aby była przyjęta ta, która zapewnia dobro wspólnoty rodzinnej.

4. „Wziąć jako podstawę prawną, normującą prawa i obowiązki obu współmałżonków, pojęcie „współdziałania", a nie „podległości"; uwzględniając jednak wyjątkowe wypadki — wyposażając męża i ojca w nadrzędność w razie całkowitej niezgodności małżeńskiej, która stać by się mogła groźna dla rodziny, jako instytucji.

5. „Zorganizować stosunki prawno-majątkowe między małżonkami w taki sposób, aby ich administracja opierała się na współdziałaniu obu małżonków.

6. „Przyznać mężczyźnie i kobiecie równouprawnienie w zakresie praw opiekuńczych i spadkowych.

7. „W miarę możności stworzyć prawne warunki życia ekonomicznego tak, aby praca ojca całkowicie wystarczała na utrzymanie rodziny i w ten sposób zapobiedz zbyt często nierównomiernemu rozkładowi ciężarów w rodzinach pracobiorców, gdzie matka obecnie zmuszoną jest do podwójnego wysiłku: pracy zawodowej i domowej.

8. „Zapewnić prawa polityczne kobietom, a między innymi prawo głosu, ale w każdym wypadku biorąc pod uwagę okoliczność czasu i miejsca".

*Podpisano:* Za Zarząd Międzyn. Unii Kat. Lig Kobiecych

F. Steenberghe-Eugeringh
Przewodnicząca
M. Romme, Sekretarka.

* * *

Eugenika zaczyna zajmować się *zdolnością rodzinną przekazywania* zdrowia. Dr Henryk Godlewski pisze w znanym czasopiśmie francuskim „L'Epoque" co następuje.

„Lekarze francuscy kładą obecnie nacisk na potrzebę naukowych badań w zakresie „rodziny", a zwłaszcza „rodzin udanych" (dobrych rodzin). Wiadome są skazy rodzinne, które można zaobserwować na braciach, siostrach, a nawet kuzynach poszczególnych rodzin, natomiast ale mniej się dotąd zastanawiano i mniej badań prowadzono nad rodzinami, których żadna dziedziczność ujemna nie obciąża i które wydają się jak gdyby zabezpieczone nawet przeciw najzwyklejszym dolegliwościom, które odczuwa większość istot ludzkich.

„Następujące przykłady, o ile byłyby znane w większej ilości, zasłużyłyby na zbadanie biologiczne i wyprowadzenie z nich odpowiednich wniosków:

„Na przykład wypadek zupełnej i niewytłumaczalnej, a naturalnej odporności na powszechną chorobę, jaką jest dyfteryt. W czasie gdy krup był postrachem matek, w pewnej wsi bretońskiej, gdzie ta choroba szalała, cała jedna rodzina, w dodatku bardzo liczna, od 50 lat nie była nigdy dotknięta tą chorobą. Jest to podobno jedyny wypadek w rodzinach tej okolicy. Nieraz odporność rodzinna wydaje się rozciągać na wszystkie nawet najzwyklejsze choroby; wypadki takie zostały zauważone w Prowancji. Dwaj lekarze departamentu Vaneluse wskazali łącznie na 18 rodzin z ich otoczenia — rodzin licznych, bo liczących od 3—12 dzieci, które okazują się wolne od schorzeń patologicznych między innymi rodzinami dotkniętymi różnorodnymi chorobami. Te „ogniska odporności" zaznaczają się jeszcze jedną właściwością, natury moralnej, tj. wielkim autory-

tetem ojca i matki wobec dzieci i wielką dyscypliną rodzinną.

„Częściej występują takie objawy we wsiach niż w miastach, szczególnie w okolicach mało dotkniętych alkoholizmem, obniżającym człowieka zarówno fizycznie jak i moralnie.

„Ale nawet tam gdzie alkoholizm i tuberkuloza są przyczyną wielkiej ilości schorzeń i wielkiej śmiertelności, spotykamy rodziny, które umieją uniknąć tej klęski. W Sorgues, koło Avinionu jest dziadek mający 26 potomków: dzieci, wnuków i prawnuków, z których w ciągu jego życia tylko dwoje umarło.

„A teraz podajemy przykład tak piękny, że wydaje się być wyjątkiem: W departamencie Loiret jest małżeństwo wspaniałych starców, które z prawdziwą dumą może spoglądać na swoich następców. Było ich ogółem 93, a żyjących dziś jest 89. Tylko 6 zgonów na tyle urodzin w ciągu 50 lat. I jeszcze do tego dwoje zmarłych, to ofiary wielkiej wojny! A pięciu, z ogółem sześciu zmarłych, należy do pierwszego potomstwa, które liczyło 16 dzieci. W drugiej generacji na 49, żyje 48. Jedyną śmiercią była śmierć niemowlęcia. Trzecia generacja jest reprezentowaną w ilości 30-tu, *wszyscy żyjący*.

„Ta drobna śmiertelność w rodzinie jest połączoną z również minimalną ilością chorób. Lekarz ingorował nieskończenie małą ilość razy w wielkich odstępach czasu. A przecież rodzina ta często się łączyła z innymi mniej obdarzonymi przez los, mimo to wszystko tak się ułożyło, jak gdyby czysta krew pnia miała siłę przelewać na dalsze związki zdolność zdrowia i równoważyć obciążenia chorobowe. Dowodem tego jest potomstwo. Ale rodzina ta unikała wszelkich małżeństw pomiędzy krewnymi, co nie jest łatwą rzeczą w środowiskach przywiązanych do ziemi.

„Dziadek i jego małżonka są rdzennymi potomkami rolników. Sami zajmowali się rolnictwem. Tak samo pracą na roli zajmują się 15 na ogółem 16 dzieci. Na 47 wnuków 41 pracuje na roli, tak samo 25 prawnuków na ogólną liczbę 30.

„Cała ta rodzina ma pewne cechy charakterystyczne. Wszyscy są krzepcy, dobrze zbudowani, cierpliwi i spostrzegawczy. Oddają się z zamiłowaniem uprawie ziemi, są solidni i trzeźwi. Pozostają całe życie na tym samym majątku, a wielkie ich walory moralne i fizyczne robią ich specjalnie cennymi pracownikami dla właścicieli ziemskich.

„Co za kontrast pomiędzy tymi przedstawicielami zdrowia i siły, a tylu innymi zdecydowanymi, bo nie odziedziczyli zapasu tężyzny. Czy nie będzie można kiedyś zaszczepić tym ostatnim tej szczodrej i bogatej krwi? Być może. Przecież transfuzja krwi powoduje już wypadki zmartwychwstania umarłych...

„Ale na razie warto posłuchać rad starszych: przed porozumieniem serc trzeba sięgnąć do mądrości i doświadczenia rodziców, która winna być wspartą przyjaźnią i wiedzą lekarza".



## W Polsce.

Pierwszy kongres mieszkaniowy odbył się w dniach 17 i 18 grudnia rb. w Warszawie. Na kongresie wygłoszono cały szereg referatów fachowych. Adres Sekretariatu kongresu Warszawa, Trębacka 11 tel. 202.05.

* * *

W cyklu odczytów, urządzanych we środy w sali katol. Związku Polek odbył się odczyt p. Wandy Ładziny o kongresach międzynarodowych w sprawie rodziny, odbytych w Paryżu. Odczyt ten wywołał wielkie zainteresowanie i prelegentka obiecała w następnych odczytach przedstawić te postulaty, które mogą być wprowadzone w życie w instytucjach społecznych w Polsce.

* * *

Państw. Instytut Higieny Psychicznej — Warszawa, Pułaska 91, prowadzi przychodnię, udzielającą porad i leczenia w zakresie zaburzeń nerwowych i psychicznych (tzw. dzieci anormalne). Tu są badane dzieci, z którymi rodzice mają trudności wychowawcze, trudności szkolne dzieci niedorozwinięte umysłowo, psychopatyczne itp.

Prócz tego Instytut posiada oddział lecznicy dla chłopców od lat do 16. Od opłat zwolnieni są pacjenci, skierowani przez Ubezpieczalnie państw.. Pomoc lekarską lub Wydział Opieki społecznej i zdrowia Publicznego zarządu m. Warszawy.

* * *

Poradnie dla matek i dzieci prowadzą wszystkie ośrodki zdrowia, wydziału opieki społecznej zarządu m. st. Warszawy, poza tym stolica ma jeszcze 14 poradni, utrzymywanych przez organizacje społeczne, jak: Ratujmy niemowlęta, Tow. opieki nad niemowlętami, Kropla mleka i inne. Podobnie przedstawia się opieka w tym dziale w miastach prowincjonalnych.

W poradniach miejskich zbadano w r. ub. w stolicy z górą 9.380 dzieci. Poradnie organizacyj społecznych opiekowały się ok. 5.700 dziećmi. Ponieważ w Warszawie rodzi się rocznie ok. 18.000 dzieci, więc niemowląt do lat 2-ch jest ok. 36.000. Opieką zaś objęto już około 15.000

Poza poradniami, prowadzonymi przez Ośrodki zdrowia zarządu miasta st. Warszawy porady udzielane są w stacjach:

Pol. Komitetu Opieki nad dzieckiem.

W stacjach Tow. Opieki nad niemowlętami.

W stacjach Tow. przyjaciół dzieci.

W klinistycznej stacji opieki nad niemowlętami.

W pawilonie dla niemowląt Pol. Tow. „Kropla mleka" w ogrodzie Saskim.

* * *

Czasopismo zespołu rodziców „Rodzina i dziecko", drugi rok już wychodzący (z wyjątkiem miesięcy wakacyjnych) miesięcznik przynosi bardzo ciekawe artykuły w sprawach szkolnych, materiał dyskusyjny. „Głosy rodziców", oraz sprawozdania i „migawki".

Pismo to — jako „trybuna rodziców" — może się przyczynić walnie do uzdrowienia wielu nienormalnych objawów stosunku wzajemnego szkoły i rodziców i usunięcia niepożądanych zadrażnień, nie mówiąc już o błędach wychowawczych.

Pismo omawia stale zagadnienia wychowawcze w domu, szkole i środowisku.

Redaguje je p. Janina Rendznerowa. Na łamach czasopisma „Rodzina i dziecko", czytamy w n-rze 7-mym z września rb. wywody dr Ludwika Goryńskiego pt. „Drogi dokształcania pedagogicznego i psychologicznego rodziców". Ponieważ jest to czasopismo, które stawia sobie za zadanie właśnie wytworzenie odpowiedniej płaszczyzny współpracy pomiędzy szkołą, a domem rodzicielskim, więc wywody te tym bardziej zasługują na uwagę.

Autor tych cennych rozważań wychodzi z założenia, że na odcinku rodzicielskim nie możemy stwierdzić tej samej ruchliwości i zainteresowania się sprawami racjonalnego wychowania dzieci, opartego na naukowych podstawach, co wśród nauczycielstwa. Czeka więc opracowania „metodyka nauczania rodziców". Zespół psychologów i pedagogów i lekarzy w Katowicach podjął pod tym względem pewne próby. Na zasadzie dwuletnich doświadczeń, poczynionych na tym polu, oparte są rozważania dr L. Goryńskiego. Akcja wspomniana szła trzema drogami: za pomocą kursu dla rodziców na uniwersytecie powszechnym (tak zw. szkoła matek), za pomocą stałych pogadanek w Polskim Radio Katowice i za pomocą Szkolnej Poradni Psychologicznej.

Kurs dla rodziców wzbudził nadspodziewane zainteresowanie. W pierwszym roku zgłosiło się około 200 rodziców, z czego wytrwała do końca połowa, pomimo, że kurs obejmował cztery godziny pracy tygodniowo. Kurs obejmował rozwój psychiczny dziecka od niemowlęctwa do okresu dojrzewania. Oprócz wykładów — były demonstracje i wycieczki. Zwiedzono np. przedszkole, asystowano na lekcjach w szkole powszechnej. Rodzice poznali szkoły zawodowe różnego typu, o których istnieniu przeważnie nie wiedzieli. Z przeprowadzonej po kursach ankiety wynikało, że największym powodzeniem cieszyły się wykłady tych, którzy prowadzili wykład dyskusyjny. W wykładach przez radio położono duży nacisk na stałe informowanie rodziców o aktualnych przejawach życia szkolnego, o zapoznanie ich z nowym ustrojem szkolnictwa. I ta metoda okazała się bodaj lepszą, aniżeli stosowana na kursie rodzicielskim. Z inicjatywy Poradni przed mikrofonem radia odegrano kilka bardzo typowych scen, które się faktycznie odegrały w trzech różnych domach. Więc np. jeden wypadek dotyczył dziecka niedorozwiniętego umysłowo, które rodzice zmuszali wszelkimi środkami łącznie z biciem do nauki, drugi — dziewczynki, która uciekała z domu, ponieważ była w nim zbytnio nadzorowana i krępowana. Tytuł konkursu brzmiał: „Co z takim dzieckiem zrobić?". Najlepsze odpowiedzi nagrodzono. W ten sposób zorganizowano cały szereg audycji wespół ze szkolną Poradnią Psychologiczną.

Przykład stosowany w Katowicach i opisany przez „Rodzinę i dziecko" godny jest naśladowania, jako taki i jako przykład pracy nad dokształceniem pedagogicznym rodziców.

*Zofia Jankowska.*

## Z TEATRU

Dopiero pójście do teatru na „Człowieka, który był Czwartkiem" daje pełną możność oceny tej kapitalnej dysproporcji między fantazją Chestertona, a tzw, rzeczywistą rzeczywistością. I pod tym ostatnim terminem rozumiemy nie tylko samo życie w jego bezpośrednich zjawiskach, ale i to życie teatralne, które przecież oparte jest na szeregu konwenansów, i operuje bardzo szeroką skalę złudzeń.

Okazuje się jednak, że świat fikcji stworzony przez Chestertona ma wymiany ogromne i ma ciężar gatunkowy subtelniejszy, niż to może zapewnić feeria teatralna.

U Chestertona przy tym jest jeszcze jedna rzecz osobliwa, która zespala jego dzieło w szczególnego rodzaju całość. Mam tu na myśli jego jowialny humor, który zaklina w kształty najdziwaczniejsze tłuściochów czy chudzielców treść najpoważniejszą.

Na kartkach powieści „Człowiek, który był Czwartkiem" postać Niedzieli naszkicowana została w liniach owalnych, pełnych dobrotliwej ironii, w liniach, które rzeczywiście zespalają w harmonijną całość „humor, żart i głębsze znaczenie".

W koncepcji Zelwerowicza, który kreował Niedzielę, postać ta nabrała wyglądu jowiszowego, ustylizowana została według wzorów głowy Jahwe z obrazu Michała Anioła. Oczywiście wywołuje to kapitalny kontrast z uwspółcześnionym kostiumem.

Od sprawy kostiumu ważniejszy jest oczywiście strój i nastrój psychiczny postaci. I tutaj właśnie istota chestertonowskiego stylu polega na tym, że przy treści nieraz najbardziej serio intonacja bywa sarkastyczna. Bywa też tak, jak powiedzmy, ze słynną figurą księdza Browna, że niepozorna, zaniedbana zewnętrznie postać kryje w sobie skarby treści duchowej, bystrości intelektu, przedsiębiorczości, której nie postydziłby się najgenialniejszy uczony i najprzebieglejszy detektyw.

Klasycznym bowiem trickiem Chestertona jest, że decydujące rozgrywki, które mają wyrazić najgłębszy sens życia, każe prowadzić detektywom. To właśnie dzieje się w „Człowieku, który jest Czwartkiem".

Na scenie przedstawione są dzieje klubu anarchistów, który w gruncie rzeczy składał się z samych agentów policji. Słowem typowa prowokacja.

Człowiek zwany Czwartkiem — amator detektyw wstępuje do Klubu Anarchistów, by go zdemaskować i pokolei demaskuje w każdym członku szpicla.

Lecz nie to bodaj zjawisko, wywołujące zresztą na widowni niezawodne efekty śmiechu, jest najważniejsze w tej sztuce. Istota zagadnienia sprowadza się do tego, że ci anarchiści, planujący zamachy, aby wysadzić nieomal cały glob w powietrze, a więc zdawałoby się nieposkromieni indywidualności w rezultacie popadają pod najskrajniejszą tyranię jego — Niedzieli. On jest tą siłą fatalną — która pęta ich obrazoburczą niesforną fantazję. I ci wywrotowcy muszą się zrzeszyć właśnie pod taką dyktaturą, by osiągnąć swój cel. Chesterton sugeruje nam w ten sposób wniosek, że ostatecznie każdy ludzki czyn, każde zamierzenie, na pozór burzycielskie, niesforne mieści się jednak w planach Bożych. Ekonomia Boża operuje paradoksami niesubordynacji człowieczej z taką samą łatwą swobodą, jak i naszą uległością. Tego głębszego sensu i ładu nie ma już w sztuce Ivana Noela, wystawionej w Teatrze Kameralnym.

Jest to oczywiście bardzo efektowna komedia, do czego już przyzwyczaił nas repertuar tego teatru. Poddaje ona raz jeszcze oświetleniu życie drobnomieszczańskiej rodziny urzędniczej, atmosferę pożycia małżeńskiego w warunkach nieco przykrych, gdzie nie ma nędzy, ale są liczne małe niedostatki i niedole z dnia na dzień zszarpujące nerwy, niszczące ich odporność i wraz z tym niszczące jaśniejszy obraz świata.

W tych warunkach rodzi się bunt, chęć ucieczki, wyzwolenia się z krępujących warunków bytu.

Bohater sztuki, świetnie zcharakteryzowany zewnętrznie i wewnętrznie przez K. Adwentowiczowa, cierpi głęboko na skutek tej zatrutej miazmatami kuchni atmosfery domowej. Chce się wyrwać z tego zaczarowanego koła drobiazgów do jakiejś innej szerszej przestrzeni, w jakieś inne życie, które by miało mniej realny, ale za to poetyczniejszy bardziej piękny wyraz.

Raz na miesiąc nasz mieszczuch przedzierzga się w innego człowieka. Pokazał to nam kiedyś Kayserling w niezapomnianej sztuce z dużym rozmachem wystawionej przez Teatr Polski.

Mały urzędniczyna wdziewa na się skórę bonviveura, a wraz z tym przybiera wielkopański gest. Rozrzuca pieniądze, szaleje.

W trakcie jednej z takich eskapad poznaje młodą dziewczynę, której życie składa się właśnie — naodwrót — z samej błyskotliwości, z elementów szychu i przepychu. Dziewczyna, która żyje, że tak powiem na koszt swych przyjaciół, kryje również w sercu głęboki uraz.

Jest przekonana, że nie wnosi w niczyje życie żadnej treści, że jest właściwie nie potrzebna, poza jedynie upokarzającymi usługami natury fizycznej.

Słowem i dokoła niej panuje zła psychosfera, aura buntu względem życia, głębokiej urazy, niespełnionych aspiracji duchowych.

Ci dwoje na chwilę odnajdują wspólny ton: żalu i rozgoryczenia. Istoty cierpiące na kompleks niezrozumialstwa.

Może się więc na chwilę dopełnią. Chociaż i pod tym względem autor nie pozostawia nam pola do zbyt daleko sięgających złudzeń.

Sztuka operująca skalą dużych kontrastów zarówno dzięki krańcowej różnorodności środowisk, w których obracają się bohaterowie, jak też i klimatu psychicznego tak bardzo innego — wszystko to daje pole do daleko idących efektów.

Teatr Kameralny w ramach swych możliwości w sposób bardzo pomysłowy wywiązał się z tego zadania.

„Ożenek" Gogola wystawiony na scenie Jaracza w „Ateneum", dał nam jeszcze jedną próbę groteskowego potraktowania „klasyków".

„Panna Maliczewska" za to wprowadziła nas w atmosferę, powiedziałbym, czystego naturalizmu. Przede wszystkim dużą niespodzianką była czołowa kreacja Andrzejewskiej. Połączone w niej zostały pierwiastki dziewczęcia tak charakterystyczne w „Dziewczętach w mundurkach" czy „Maturze" z akcentami coraz pełniejszej kobiecości.

Mistrzostwo sceniczne Zapolskiej raz jeszcze zabłysło w całej pełni. Sposób stawiania figur, tworzenia sytuacji, oszczędność słowa, w „Pannie Maliczewskiej" większa jeszcze niż w „Skizie" — wszystko to razem usprawiedliwia zupełnie dlaczego te sztuki wracają raz po raz na scenę.

*cki*

## ZE ŚWIATA PLASTYKI

### *Zachęta.*

Na czoło przeglądu wystaw malarskich ostatniego okresu wysuwa się na pierwsze miejsce całokształt prac *Ferdynanda Ruszczyca*, zebrany w salonach „Zachęty" warszawskiej.

Los zrządził, że ostatnio omawiałem na łamach „Rodziny" dwa znakomite nazwiska z plejady naszych artystów: *A. Grottgera* i *L. Wyczółkowskiego*, dziś poświęcam kilka słów wspomnienia, również z powodu pośmiertnej wystawy *Ferdynandowi Ruszczycowi* [1]).

Chcąc zrozumieć Ruszczyca jako malarza, nie można przynajmniej w ogólnych liniach nie ująć jego sylwety jako Polaka. Był to bowiem Polak rasowy w całym wyczuciu tego wyrazu. Na podłożu charakteru patrioty w dobie przedwojennej i zapamiętałego działacza społecznego już w okresie odrodzonego państwa — można dopiero zrozumieć kto był Ruszczyc-malarz i jak wielki był zasięg jego indywidualności. W artyście tkwił nieopsolity duch nie kontemplacji i akademickiego rezonerstwa, tak często spotykany wówczas, gdy najbujniej dojrzewał jego talent w okresie *Młodej Polski*, raczej temperament rozpierający tworzone przez niego wartości. Może dlatego nie mógł się zróść z Krakowem, usypianym królewską powagą grobów i zawiłą dialektyką nawet najbardziej poetycznych wzniesień *Młodej Polski* z Wyspiańskim na czele. Na jednym odcinku swej działalności w malarstwie posługując się formą nową, świeżą, częściowo opartą o impresjonizm, treścią swych dzieł wybiegał daleko naprzód i stawał się potencjonalnie wizjonerem odrodzonej ojczyzny.

Ponieważ wewnętrzna potrzeba ruchu i wyładowania sił natrafiała na wielki talent malarski, została przez Ruszczyca zużyta do plastycznego wypowiedzenia rzeczy potężnych, spraw, obchodzących nie tylko szczupłą garść wtajemniczonych, lecz cały naród. Władając zaś świetnie techniką pędzla — Ruszczyc potrafił nagiąć owe środki nie dla wyrażenia płytkiego dydaktyzmu, lecz dla wytworzenia dzieł o wysokiej ideowej doniosłości. W tej działalności pomocne było artyście staranne wychowanie domowe w rodzinnym dworze Bohdanowskim w opiewanej przez Sienkiewicza Ziemi Oszmiańskiej, wszechstronne wykształcenie, zatem ukończenie petersburskiego wydziału prawa i Akademii Sztuk Pięknych, szeroka znajomość świata, nabyta podczas licznych podróży po Rosji i Europie.

Szereg obecnie wystawionych obrazów [2]) Ruszczyca posiada bezwątpienia muzealną wartość. Oglądając je rzuca się na pierwszy rzut oka ów niespokojny, wiecznie zmierzający ku wyżynom „ad astra" dynamizm twórczy, nie zadawalniający się ucieleśnieniem marzeń w czysto realnej formie, zresztą owładnięty mistrzowsko, lecz w ujęciu syntezującego symbolu, który pomimo realnych kształtów, górował nad formą i tłumaczył się sam przez się. Z obrazów artysty wieje potęga i groza, tajemniczość i urok romantyzmu czystego, nie w znaczeniu sielankowatości „Petit Trianon", raczej o barwie ponurych legend szkockich Walter Scotta, lub plastycznych burz Salvatora Rozy. Czasem w utworach Ruszczyca odczuwa się wprost muzyczne rozkosze patetycznych akordów Beethovena lub demonicznych fraz Czajkowskiego. Oko ar-

1) Ur. w Bohdanowie (Ziemia Oszmiańska) — umiera 30. X 1936 r.
2) W ogólnej liczbie 359.

tysty lubi przesuwać się w poświacie „Białych Nocy", przenikać mroczną głębię przysypanego śniegiem leśnego „Ruczaju", dotykać obmarzniętych kół młynów wodnych, zakrwawionych promieniami zachodzącego słońca, błądzić po oprószonych śniegiem ruinach zamków, czaić się przy beznadziejnie głucho zapartych bramach więzienia.

W krajobrazach Ruszczyca — bo był on przede wszystkim pejzażystą — nawet w pogodnych letnich dniach dmie wicher, pędzący stada skłębionych chmur, lub nachylający łany kłosów i rzędy drzew, paraliżując ich konary. Z rzadka odzywa się pogodny ton „Wiosny" z strzelającymi w górę łodygami i malutkim domkiem ptaszęcym w oczekiwaniu na rzesze rodzimych śpiewaków.

Cztery kompozycje artysty wypowiadają jego szczytowe myśli: „Bajka Zimowa" snuje legendę nad czarną topielą, gdzie srebrzystym szronem spowite zwisają gałązki... „Ziemia" rzuca przed oczy i przypomina milionom wysiłek człowieka, co w pocie i znoju swój chleb powszedni pożywać będzie.... „Ballada" wzrusza tajemnicą unoszoną w rozkołysanym dyliżansie przez zawrotnie galopujące konie... Starodawny korab w mistycznej czerwieni oślepiających latarni sunąc po głębiach rozpętanych fal morza — ściska za serce i wargom szeptać każe „Nec mergitur".

Liczna i wieloraka jakościowo jest spuścizna artystyczna Ruszczyca. Maluje brzegi i dale morskie, skaliste wiszary Bornholmu, poszarpane zębem czasu mury historycznych budowli, barokową architekturę staroświeckich dworków i ich przytulne wnętrza, wspominki lat dziecięcych, kościoły rodzinnej ziemi i zagraniczne pałace, obłoki i relikwie szczątków królewskich.

Dział jego rysunków łączy się ściśle z jego pracami kulturalno-społecznymi. Szkicuje i z bezmierną ofiarnością na cele publiczne oddaje ilustracje i winiety do książek, wydawnictw i pism, kreśli projekty okładek, tablic pamiątkowych, programów, plakatów, afiszów, sztandarów, insygnii, znaczków pocztowych i rozmaitych innych druków.

Jako plastyka najbliżej wiąże go ze społeczną działalnością — teatr i tutaj Ruszczyc, podobnie jak Wyspiański, ukazuje cały swój temperament artystyczny. Toteż inscenizacje widowisk poruszających polskie uczucia narodowe należały do kategorii zjawisk niepowszednich, tym więcej, że wiele z nich odbywało się w przedwojennym Wilnie, w mieście uważanym przez Moskali za „istienno russki gorod". Z tych kontaktów ze sceną datuje duży zasób szkiców dekoracyjnych, projektów kostiumów itd., obecnie na wystawie oglądanych.

Dalszą odmianą czynu artysty było organizowanie wystaw. I tutaj działalność jego, zwłaszcza jeżeli myślimy o Wilnie — posiadała ogromną wagę, pobudzała bowiem serca rodaków ściśniętych jarzmem okupanta, jeżeli zaś chodzi o Europę (Wiedeń, Paryż), odkrywała zagranicy geniusz polskiego malarstwa. Artyzm nasz pokazany światu przez Ruszczysa w okresie, kiedy sprawa naszej niepodległości na międzynarodowym terenie boleśnie była zaknebłowana — spełnił po raz drugi od czasu wszechświatowej wystawy chicagowskiej w r. 1893 ważną rolę głośnego protestu dyplomatycznego i krzepkiego zamanifestowania żywotności i twórczości narodu [3].

Poza plastyką włada Ruszczyc biegle piórem i żywym słowem [4]). Pisze artykuły w języku polskim i francuskim, wygłasza liczne przemówienia i odczyty w kraju i na obczyźnie, wszędzie podkreślając wysokie polskie wartości duchowe.

Fanatycznie przywiązany do ziemi rodzinnej, do Wilna, staje się z biegiem lat opiekunem kultury artystycznej ukochanego przez siebie miasta. Porzucając karierę profesorską w Warszawie, potem w Krakowie oddaje się całkowicie służbie publicznej swymi pracami zespolonymi z Uniwersytetem Stefana Batorego, z pracami organizacyjnymi wydziału Sztuk Pięknych, z poszukiwaniami konserwatorsko-inwenturyzacyjnymi. Obowiązek obywatelski każe Ruszczycowi wstąpić jako ochotnikowi do wojska polskiego w r. 1920, następnie w r. 1922 piastować godnie stanowisko posła do sejmu wileńskiego i radnego miejskiego, przy równoczesnym ocaleniu i utrzymaniu ojcowskiej spuścizny. Na tych polach pracy należał artysta-społecznik do najgorliwszych zwolenników zcalenia Wileńszczyzny z Koroną, wyrażał swoje przekonania czynem, wyrażał słowem, piórem, a przede wszystkim na wskroś polskim niezależnym pędzlem i ołówkiem. Łączył w charakterze swoim wielostronność i wytworność magnata z czasów italskiego „odrodzenia" i polskiego szlachcica z jego wrodzoną dumą narodową, ongi wzbudzającą szacunek nawet u wrogów, dziś, niestety coraz rzadziej spotykaną.

Wpatrzony przez całe życie w ideał wieczystego piękna zaliczony zostaje Ruszczyc przez serca współrodaków do owego potężnego legionu mocarnych synów Wileńszczyzny, co czynem swoim rozbudowali naszą nowoczesną kulturę narodową i zabezpieczyli polityczną niepodległość ziemi wileńskiej, złączonej na wieki z Polską krwią, tradycją i granicami państwa...

Drugą pośmiertną wystawą w „Zachęcie" jest zbiór prac rzeźbiarskich śp. *Antoniego Wasilewicza*. I on był synem ziem wschodnich najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Pochodził z Kijowszczyzny i tutaj rozwijał przed wojną swoją artystyczną działalność, po wojnie zaś wydostawszy się z bolszewickiej niewoli zamieszkuje w Warszawie. Wasilewicz poświęcał swój talent poparty wielką znajomością tajemnic kunsztu rzeźbiarskiego, twórczości religijnej i apoteozie narodowego wojska. Podniosłe uczucia artysty najsilniej przejawiają się w projektach monumentalnych figur Chrystusa niosącego pokój i Chrystusa-Króla, przebija w nich głęboki ton wiary i umiłowania tematu. W płaskorzeźbach, plakietach, w fotografiach niewystawionych prac widnieje niepoślednia ręka majstra przywykłego do rozwiązywania trudnych zagadnień,



wymagających subtelnego a zdecydowanego dłuta.

Niestety przedwcześnie z nędzy i zgryzot zmarłemu artyście-entuzjaście o gołębim sercu i szlachetnej polskiej duszy nie danem było ujrzeć w stolicy urzeczywistnienia doskonale pomyślanego pomnika jenerała Sowińskiego, ani świetnie skomponowanej rzeźby Chrystusa-Króla.

Zbiorowa wystawa prac *Bronisława Bartla* ukazuje nam oblicze marynisty o określonej indywidualności i dużych możliwościach. Sadzę, że artysta nie odnalazł jeszcze całkowicie siebie i nie zawsze w poszukiwaniach, które dają się odczuwać, jest z siebie w pełni zadowolony. Wskutek puentylistycznego rozbicia światła w jego obrazach — szczegóły zostają rozproszone, a głębia tonu, do jakiej artysta dąży — ucieka, nie zostawiając wrażenia kolejności planów — stąd uczucie zbytniej płaskości. Przyczynia się do tego jednostajny za monotonny kolor. Drobna uwaga kolegi malarza — czasem lepiej schować słońce za ramę... Żadna farba bezpośrednio nie zdoła wywołać efektu pełni jego blasku. — Do najlepszych prac w obecnym pokazie należy „Zachód w porcie gdyńskim" i inny widok tegoż portu.

Bezsprzecznie jednym z najsumienniejszych pejzażystów polskich młodszego pokolenia jest *Stanisław Dybowski, którego* zbiorową wystawę można teraz oglądać w „Zachęcie". Dybowski kocha się nade wszystko w słońcu gór, może zimniejszym od słońca dolin — lecz zawsze promiennym i życiodajnym. Prostota tematu przy tężyźnie malarskiego ujęcia posiada wdzięk szczerości i prawdziwego umiłowania natury. Artysta konsekwentnie dąży do zachowania czystości linii i przeźroczystości powietrznej, zalet charakteryzujących prawie zawsze malarzy gór. Stąd też Dybowski czuje się lepiej malując ostry zimowy pejzaż Bukowiny, z jej zagrodami, kapliczkami, i reglami posypanymi śniegiem, aniżeli przy oświeconej upalnym letnim słońcem zagrodzie (zresztą bardzo dobrze ujętej).

W większej kompozycji „Za ojczyznę" naturalną grozę tematu przygłusza nieco za bardzo graficzna faktura.

*Wystawa zbiorowa Związku Polskich Artystów Grafików.*

Wysoka klasa polskiej grafiki stwierdza obecnie swoją żywotność w licznym pokazie bardzo dobrych prac. Spotykamy: *E. Bartłomiejczyka* drzeworyty kolorowe (w Bączkowie), *S. Brzęczkowskiego* drzeworyt (U źródeł Wisły), *S. Chrostowskiego* drzeworyty (Ilustracje do zbiorowego wydania dzieł Szekspira), *M. Duninówny* kilka ładnych drzeworytów, *H. Gaczyńskiego*

3) Na wystawie tej Polska otrzymała zaszczytne miejsce w pałacu Sztuk Pięknych, występując oficjalnie jako „Society of Polish Artists" pomimo energicznego sprzeciwu rządów trzech zaborców. Wystawa po raz pierwszy utorowała drogę do propagandy o Polsce, przedstawiając kulturę Polski we właściwym świetle i przekonywując amerykański kontynent, że poza prostymi wychodźcami istnieje naród o wysokim poziomie duchowym i umysłowym. Por. Z. Z. Sosnowskiego „Prawda Dziejowa", Warszawa 1925, str. XXVII.

4) „Ferdynand Ruszczyc: spis prac i dat z życia i działalności, sporządzony we wrześniu 1937 roku w Bohdanowie", Wilno 1937, jako dodatek do dzieła pt. „Ferdynand Ruszczyc — Liść wawrzynu i płatek róży". Wyd. pod redakcją A. Bułhaka, Wilno 1937 r. — Por.: M. Mozelowskiego, „Ferdynand Ruszczyc — Życie i dzieło" w Przewodniku Tow. Zachęty Stzuk Pięknych w Warszawie, listopad-grudzień 1937. str. 15.

drzeworyt (Kościół PP. Sakramentek), *J. Hulewicza* linoryty (Łucznik i smutek), *M. Huthowej akwaforty* (Fragment katedry lwowskiej, Vichy), *Z. Nowotnowej* drzeworyty (Pod Jedlami, widok z Podzamcza), *Z. Romerowej* akwafortę (Girls), *M. Sieraczyńskiej* drzeworyty nieco za litograficzne, *A. Sołtana* zbyt przerysowane autolitografie, *M. Wąsowicz-Sopoćkowej* drzeworyty (W wiejskim kościółku, Zagroda), *P. Stellera* drzeworytowe studia głów, lepsze od wystawionych poprzednio, *K. Wiszniewskiego* litograficzne „exlibrysy", *M. Wolskiej-Berezowskiej* akwatinty (Tenis, Kajak), *W. Zakrzewskiego* akwaforty (W kopalni węgla, Młot mechaniczny).

*IX-ty Salon Malarski IPSU.*

Wystawione obecnie prace posiadają przepastne różnice wartości artystycznej. Niektóre w ogóle nie zasługują na miano prac artystycznych, wisząc ciągle u ogona formizmu, a swymi przecięciami basetli i napaćkanymi gzygzakami wywołując najwyżej drwiny. Niektóre znów, zwłaszcza akty narodzone w żydowskim geccie powinny co rychlej być odłączone od polskiego widza, tym więcej, że po niedawnym wywiezieniu trędowatej handlarki żywym towarem za granicę kraju, niepotrzebne jest jej wspomnienie. Nie widzę również konieczności, ażeby już i w tak zażydzonej Warszawie masy miały patrzeć się na mełamedów i szajgeców malowanych notabene przez Polaków.

Do malarzy, u których widać wysiłek twórczy i dobór walorów należy *E. Arct* (Widok ulicy Brackiej). W *M. Byliny* „Czworoboki pod Arcis" rozwiązane jest trafnie skomponowanie wściekłego ataku konnicy i stalowego oporu piechoty. Kolor i faktura upodobniona zupełnie do lakierowanych obrazów Anno Domini 1850—70. *S. Charzyński* pokazuje ciekawe ujęcie tonu w pejzażach Krzemieńca II-go. Zagadką dla mnie pozostaje dlaczego malarz o zadatkach bardzo zdolnego batalisty *E. Geppert* koniecznie upiera się przy rozmazywaniu brudnych grudek nachlapanego szafiru pomiędzy postaciami przodków. Modernizm można przecież ujawnić innymi środkami. *S. Grabowskiego* widok frontonu „Notre Dame" w Paryżu posiada duży rozmach szkicowy. *A. Grąskiewicz* wykazuje silną indywidualność w „Portrecie" i w „Martwej naturze", kładąc nacisk na zdecydowaną linię i konstruktywizm światłocienia. *E. Jelowickiego* płótno przedstawiające epizod z wojen króla Batorego, więcej posiada cech mozaiki, jak olejnego obrazu. W *A. Malickiego* „Targu" spostrzega się dużo słońca i prawdy. *T. Niesiołowskiego* „Cyrkowiec" odznacza się istotną charakterystyką malarską, *M. Rouby* „Mury pobernardyńskie w Wilnie" posiadają dużo poezji, *M. Siemiradzkiego* dobrze ustawiony portret niepotrzebnie przytłumia monotonia bladego koloru. Szkoda, że *M. Żuławskiego* subtelna kompozycja „Wnętrza" nie wiąże się dostatecznie z aktem kobiecym. Gdyby nie było tej usterki, obraz zasługiwałby na pełne uznanie.

Osobną wzmiankę chciałbym poświęcić *J. Hulewiczowi* malarzowi o dużej kulturze artystycznej. Nie pomylę się chyba zbytnio, jeżeli stwierdzę, iż potęga siły wzroku św. Franciszka z Asyżu niewątpliwie wydobyta w tym wizerunku zatraca się, powiedziałbym, rozprasza w dodatkach nic nie mówiących, lub w przesadnie przerysowanej czaszce. Jeżeli w tej pracy widać myśl twórczą to w utworach *F. S. Kowarskiego* poza karykaturą widać bardzo mało. „Rok 1863" jest przedstawiony przez ciemną ponurą galerię „Katorżników" z obciętymi policzkami. Zapewne obraz przeznaczony do jakiegoś publicznego gmachu... Ładnie propaganda estetyki i rodzimej historii!.. Gdzie indziej w obszernym drogim płótnie, bo niosącym na sobie cetnary nawalonej, brudnej farby, w nieproporcjonalnie wielkich rozmiarach zarysowuje się sylwetka banalnego pejsage.

Nic dziwnego, że uczniowie takich profesorów malują bohomazy. Urządzona przez *studentów Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych wystawa gwiazdkowa* w gmachu na Krakowskim Przedmieściu — pełna jest szkiców ołówkowych, akwareli, olejnych obrazków i grafiki. Ogólny wapienny schemat barwy olejnej przeraża monotonią i nudą maniery. Szkoda naprawdę, gdyż znać spopod narzucanego szablonu wydobywających się trudem kilka talentów np.: *Wątorek* ze swoimi akwarelowymi zwierzętami, *Śliwiński* debiutujący koniarz i dużo zapowiadający grafik *Watracz.*

*Wystawa Mariana Mokwy w Towarzystwie Techników.*

M. Mokwa należy do czołowych naszych marynistów torujących pędzlem drogę uznania dla polskiego morza. Artysta posiada doskonały zmysł obserwacyjny i świetną technikę, toteż osiąga duże wyniki. Maluje brawurowo nie oglądając się na szczegóły, lubuje się w potędze żywiołu, w przelewających się zwałach bałwanów, w grze zmieniającego się ustawicznie światła na wiecznie żywej fali, w zadymionych portach wypchanych kadłubami statków i barek. W „Bitwie Oliwskiej", o ile można wnioskować z małego stosunkowo rozmiaru szkicu tryptyka, środkowa część jest najlepsza. Szkoda wielka, że tak interesująca i piękna wystawa znalazła pomieszczenie w fatalnie oświetlonych salach w gmachu na uboczu od głównej arterii ruchu miejskiego.

## Z FILMU

Film polski zdobył się znów na dzieło monumentalne. Mamy na myśli nową udźwiękowioną wersję „Halki". Oglądając ten film przypominamy sobie pierwszą realizację z Zoriką Szymańską w roli Halki. Był to właściwie w całym tego słowa znaczeniu film pionierski, zwłaszcza w rodzaju filmów kostiumowych. Poza „Kościuszką" i „Panem Tadeuszem" był to bodaj trzeci z kolei polski film o monumentalno-historycznym zakroju.

Rozumiemy więc dokładnie, jakie trudności miał wówczas do przezwyciężenia realizator. I trzeba przyznać, że jak na ówczesne nasze możliwości obraz zrobiony był z dużym smakiem.

Oczywiście dla bywalców operowych jego słabą stronę stanowił właśnie brak dźwięku. Tak już ucho nawykło do arii Jontka, Janusza czy Halki, że brak ich stawał się czymś nienaturalnie drażniącym.

Temu brakowi zaradzono w nowej wersji, obsadzając czołowe role artystami śpiewakami, jak Władysław Ladis (brat Kiepury) lub Lili Zielińska.

Oczywiście, że nad całością realizacji dominuje styl operowy, że mamy właściwie tu jakby sfilmowany teatr, gdy w pierwszej wersji starano się rzecz ująć raczej realistycznie.

Nie wyszło to całkiem na dobre, obraz jest, jeżeli chodzi o styl filmowy, raczej cofnięciem w porównaniu z taką „Barbarą Radziwiłłówną" czy choćby „Panem Twardowskim".

W każdym bądź jednak razie ma wysoki poziom, bogatą oprawę, ilustrację wokalno-muzyczną najwyższej klasy. Kiepura nr II — Ladis — śpiewa pięknie, można powiedzieć z natchnieniem. Film w ogóle robi duże wrażenie i dla melomanów niewątpliwie może być wielką atrakcją.

Strona techniczna na ogół na wysokości zadania, czystości zdjęć i dźwięku prawie bez zarzutu.

Film „Władca", o którym już tu wspominaliśmy stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że Emil Janings nic nie uronił ze swego wielkiego tragicznego talentu, który zabłysł przed laty na ekranach świata.

Niezapomniany „Aparz" „Portier z hotelu Atlantic" a wreszcie „Niepotrzebny człowiek" odrodził się w nowej postaci „Władcy".

Historia człowieka mocnego pokazana jest w tym filmie rzeczywiście ze wstrząsającym realizmem. Film zaczyna się od razu forte. Asystujemy na pogrzebie żony wielkiego przemysłowca. Dookoła grobu zgromadzona jest cała rodzina. Dorosłe córki, synowie, zięć i ojciec świeżo owdowiały. Kamienny spokój maluje się na jego twarzy.

Z tym samym gronem osób spotykamy się następnie w zasobnym pałacu przemysłowca, gdzie się odbywa coś w rodzaju stypy. Tu spadają maski z twarzy. Nieciekawi to ludzie. Jedna córka zhisteryzowana do obłędu, uprawiająca kult zmarłej matki. Druga głupiutka gęś, syn pyszałkowaty filozof, zięć gbur i ordynarny groszorób.

Wszystko to otacza owdowiałego ojca, zaczyna kontrolować jego posunięcia i w zarządzie przedsiębiorstwa, a też i jego serca, które nagle żywiej zabiło do młodej sekretarki, istoty naprawdę po ludzku szlachetnej. Obok niej można by jedynie postawić doktora, prawdziwego przyjaciela przemysłowca.

Zaczyna się nikczemna intryga rodzinki zaniepokojonej, że młoda kobieta może ewentualnie poślubić wdowca i „zagarnąć" jego majątek.

Rodzina postanawia ubezwłasnowolnić ojca. Jesteśmy świadkami kapitalnej sceny, kiedy adwokat oznajmia przemysłowcowi o tym, że został poddany kurateli.

Lecz, to, co potem następuje jest wstrząsające po prostu w swym realizmie i potędze ekspresji dramatycznej. Spokojny i opanowany „władca" wybucha istną lawą oburzenia.

I tu dopiero Jannings pokazał swój lwi pazur. Nie mówię już o fizycznej eksplozji, która towarzyszy tej scenie — demolowanie gablot rodzinnych i rozdarcie sztyletem portretu zmarłej żony. Samego szczytu tragicznej grozy sięga następnie starcie się „władcy" z dziećmi. Kiedy uderzając swego syna w czoło ojciec w straszenej pasji woła: „Czy twoja wiedza szanowny doktorze filozofii potrafi ci wyjaśnić istotną treść tego faktu, że odebrawszy cię jako wątłe niemowlę z rąk matki czuwałem nad każdym oddechem, abyś żył? I czy to co robisz stanowi właśnie najlepszy wyraz podzięki?" — jesteśmy tak do głębi przejęci, że dech nam zapiera, zwłaszcza gdy się patrzy na istotnie tragicznym mrokiem pokrytą twarz Janningsa.

Wstrząsające przeżycie.

Jest to kulminacyjna scena tego istotnie doskonałego filmu, w którym co chwila dzieje się coś wysoce elektryzującego wyobraźnię widza.

„Życie ulicy” jest to film typowy dla amerykańskiej produkcji seryjnej i w ogóle amerykańskiej problematyki życia.

Obraz ilustruje stosunki wśród szoferów wielkiego miasta, zrzeszonych w dwa konkurencyjne związki, które rozgrywają między sobą walkę nie pozbawioną akcentów zarówno dramatycznych jak i komicznych.

Brutalizm amerykańskiej cywilizacji został tu oświetlony zupełnie szczerze i bez ceremonii. Za jego przejaw należy uważać zaciekłą pogoń burmistrza wraz z całą sforą ajentów za niewinnie posądzoną o przestępstwo kobietą. Jako przeciwwagę pokazano interwencję związku bokserów, którzy przerywają na chwilę bankiet jubileuszowy, aby stanąć w obronie pokrzywdzonej niewinności. Rolę kobiecą kreuje milutka Luiza Reiner, rolę męską odtwarza Spencer Tracy.

Krótkometrażówka T. Stacha (reż. Janusz Star) „Wolna droga” wybitnie stwierdza, że w tej dziedzinie produkcji posuwamy się ustawicznie naprzód. Posiada ona bardzo dobry scenariusz, logiczny i zwarty, dobre zdjęcia i bardzo staranną reżyserię. Krótkometrażówka ta ma ponadto wybitne walory pedagogiczno-społeczne, jest bowiem propagandą umiejętności jeżdżenia po drogach polskich w taki sposób, aby nikt nie był narażony na niebezpieczeństwo. Treść bardzo interesująca. Na wskroś realna i pełna ujmującego ciepła jest postać doktora. Przemiła jest bohaterka 6-letnia artystka (z teatru Ortyma) Krysia Orlińska. Odpowiednia atmosfera, której jeszcze brak u nas, i właściwe kierownictwo może z tego dziecka wydobyć cały ogrom jej ujmującego talentu. Pożyteczną i doskonałą krótkometrażówkę żywo oklaskuje publiczność.

*cki*

## Z MUZYKI

Jakże często dowiadujemy się o laureatach, co do których dałoby się raczej powiedzieć, że otrzymali nagrodę artystyczną „przez kogoś” niż — za coś. Potworzyły się w Polsce kliki i kliczki, które z rzadką u nas solidarnością popierają (i podnierają) wzajemnie swoich członków, zwłaszcza jeśli idzie o nagrodę. Dzięki tym osobliwym, a niestety nierejestrowanym przez komisarza rządu „stowarzyszeniu” zaczyna się w społeczeństwie naszym urabiać opinia, że tytuł laureata, czy też wawrzyn akademicki, czy wreszcie inna tego rodzaju godność są odwrotnie proporcjonalne do zasługi.

Toteż nie mogliśmy się nadziwić, że tegoroczną nagrodę muzyczną m. Warszawy otrzymał *Stanisław Kazuro*, idący swoimi drogami w wielkie cele twórcze zapatrzony artysta. I było to dla nas najradośniejszym zdarzeniem z minionego okresu sprawozdawczego. Kazuro to rzadki na naszym gruncie przykład symbiozy wielkiego talentu z niemniejszą pracowitością. Już w latach młodzieńczych ukochał on p i e ś ń, która odtąd towarzyszy mu w rozlicznych pracach muzycznych przez trzy z górą dziesiątki lat. Urodzony na Wileńszczyźnie w rodzinnym Teklinopolu w r. 1881 jest laureat tegoroczny w pełni sił wieku męskiego. Jeszcze przed wojną, mieszkając na „p o s i e l e n i i” w Dyneburgu, tworzy tam Kazuro pierwsze zespoły chóralne. Po studiach odbytych w Warszawie, Rzymie i Paryżu osiada około r. 1908 w naszej stolicy i wkrótce obejmuje klasę w Konserwatorium. Pamiętam, z jakim entuzjazmem witaliśmy jego „Bajkę” w r. 1913 na scenie przy ulicy Śniadeckich. Te chóry robotnicze (dzięki pomocy ks. Pozowskiego tworzone), to były autochtony dzisiejszego arcyzespołu — Polskiej Kapeli Ludowej. Odtąd twórczość Kazury poszła zdecydowanie po linii *wokalizmu*. Pieśń ludowa, piętnaście zeszytów folkloru polskiego zebranych z całej Polski, pieśni solowe z fortepianem, czy wreszcie wielkie o r a t o r i a Kazury — wszystko to było dla mnie dowodem, że pieśń i to *pieśń ojczysta* jest dla niego największym z umiłowań. Jako pedagog zasłużył się Kazuro bardzo, nie tylko z tytułu profesora konserwatorium, gdzie po dzień dzisiejszy uczy teorii, kontrapunktu i solfeżu, lecz przede wszystkim, jako *założyciel Wydziału Nauczycielskiego* przy tymże Konserwatorium, który w pierwszym roku istnienia był jednostką autonomiczną. Ale Kazuro, tak daleki od myśli o karierze i uposażeniu orientuje się szybko, że autonomia wydziału może szkodzić całości Konserwatorium, rozdwajać je niejako. Zrzeka się więc *samorzutnie* godności dyrektora wydziału i wciela go do instytucji jako sekcję. Już ten drobny, ale znamienny fakt wystarcza, aby odmalować jedną z najpiękniejszych cech charakteru laureata tegorocznego — *bezinteresowność jego* w imię dobra sprawy. Wystarczy zapytać młodzież muzyczną, co myśli i co czuje względem pozornie rubasznego, ale o złotym sercu profesora — Stanisława Kazury? Oby chwila zdziwienia (a może i... tremy?) przed nagrodą, o której oznajmili mu dyr. Morawski i radca Śledziński, zamieniła się w radość żywą że sprawiedliwego i w pełni zasłużonego wyróżnienia.




*Stanisław Kazuro.*



Życie muzyczne pulsuje mocno. Na estradzie Filharmonii warszawskiej, oraz w Konserwatorium przewinęli się w ostatnich tygodniach artyści tak wybitni, iż nie starczyłoby tu miejsca na bliższe omówienie ich występów.

Zaczyna ten poczet *Józef Szigeti*, skrzypek znany nam od dawna, to jest jeszcze od chwili tak zwanego „cudownego dzieciństwa”. Dzisiejszy Szygeti jest wirtuozem pierwszego rzędu, chociaż nie można by go postawić obok Hubermana. Ton piękny, świetna, nader błyskotliwa technika i nie zawsze słuszny wybór programu oto wrażenia, jakie pozostawiły oba jego koncerty. Może najciekawiej wypadły arcytrudne „K a p r y s y” Paganimego (na jedną rękę), Szymanowski i Skrjabin. Bardzo ważnym czynnikiem powodzenia Szigetiego był jego akompaniator Endre Petry, wykwintny i dyskretny zarazem towarzysz na estradzie. Na jednym z następnych „piątków” filharmonijnych usłyszeliśmy znaną nam już z niedawnego konkursu chopinowskiego pianistkę, *Monikę de la Bruchellerié*. Grała koncert a-dur Mozarta i przepysne w rysunku wariacje symfoniczne Cezara Francka; potwierdzając wrażenie, z którym dzieliłem się już na tym miejscu z okazji wspomnianych konkursów. Dyrygował *Matacic*, jeden z najwybitniejszych dyrygentów słowiańskich. I wreszcie promienny, młodzieńczy artyzm *France Ellegaard*. Ta pianistka posiada nie tylko talent i wszystkie niezbędne w dobie dzisiejszej walory techniczne, ale i niebywałe szczęście u publiczności. Ile razy przybywa do nas, spotyka ją ciżba szczerych przyjaciół. Bo z tej gry, szczerej i nie wymuszonej, pozbawionej efekciarstwa, a jakże pięknej idą ku nam fluidy jakieś niezwykłe. Ellegaard zdaje się być na estradzie jak w domu, panuje nad instrumentem i jedynie grono „wtajemniczonych” wie o jej tremie, o leżącym podczas całego koncertu w pokoju artystycznym małym krzyżyku niosącym szczęście i o Misiu — maskotu panny France.

Na koniec uczta artystyczna w postaci dwu koncertów: *Hermann Abendroth* i *Wilhelm Backhaus*, oraz — „Dziewiąta” Beethovena z tymże wielkim Abendrothem przy pulpicie dyrygenta. Takiego wykonania ostatniej z symfonii Beethovena nie słyszy się zbyt często. Tu już nie miejsce na analizę, ani na stereotypowe pochwały. „Hut ab, meine Herrn!..., powiedziałby niechybnie o tym wykonaniu jedyny krytyk-artysta, godny tej nazwy — Robert Schumann.

Gra Backhausa nie traci ani odrobiny swojego piękna. Jego głęboki, przypominający mi Śliwińskiego, ton fortepianowy,

to zjawisko coraz rzadsze. Technika bowiem to rzecz już zwyczajna, bez niej nie ma pianisty. Mało kto potrafii tak zagrać chorał z koncertu g-dur Beethovena, bądź jego, na wskroś rapsodyczną część drugą. Nawet także „znane” drobiazgi, jak cztery walce Brahmsa, bądź „Warum” i etiuty Chopina, wszystko to w interpretacji Backhausa nabiera wagi, staje się wydarzeniem... Wielki natchniony pianista!

Dobrze się dzieje, że dyrekcja Filharmonii dba o jednolity program swoich „poranków” niedzielnych. Pisałem już o tym parokrotnie, podkreślając, że te poranki są źródłem wykształcenia muzycznego dla najszerszych warstw naszego społeczeństwa. Że nie należy ich przeładowywać muzyką modernistów, do której większość słuchaczów niedzielnych nie dorosła. Filharmonia dając programy jak to nazwałem wyżej „jednolite” i popularne w najlepszym tego słowa znaczeniu przyczyni się z czasem do pomnożenia swojej publiczności na koncertach symfonicznych, o co idzie jej niezawodnie. Czajkowski, Szubert, Schumann, czy też Grieg wyrażenia w postaci poświęconego ich twórczości „poranku” dadzą słuchaczom możność porównania epok, stylu i rodzaju ich twórczości. Znany mi również z konkursu chopinowskiego pianista, *Jan Bereżyński* okazał się w koncercie a-moll Griega artystą bardzo dobrze do występów publicznych przygotowanego, może nie co za chłodnym w przeciwstawaniu do żywiołowej interpretacji Bukina sprzed miesiąca. Ozimiński stanowczo dyryguje zbyt ospale. W sali Konserwatorium grała wspomniana już Ellegaard. Tamże odbywają się co dwa tygodnie koncerty *Towarzystwa Muzyki Dawnej*. Pisałem już w sezonie ubiegłym, że łączenie utworów z okresu wielkich klasyków z romantyzmem bądź muzyką najnowszą w jednym programie, uważam za nie celowe z tych samych przyczyn, dla których cenię „jednolitość” w układzie „poranków” filharmonijnych. Nie wiem czy stało się to przez intuicję, ale wszystkie trzy audycje T. M. D. urządzone w tym sezonie nie zawierały już tych, zdaniem moim, szkolnych dysonansów. Niezapomniany recital *Callimahosa,* bądź ostatnia audycja listopadowa (IVa) były tego dowodem. Należy życzyć, aby T. M. D. rozwijało się nadal, krzewiąc kult dla muzyki klasycznej, bez znajomości której nie ma mowy o należytym rozumieniu współczesności muzycznej.

W końcu słówko o sprawie — w przeciwstawieniu do nagrody Stanisława Kazury — najsmutniejszej. Zamknięte od paru tygodni podwoje Teatru Wielkiego mówią same za siebie. W stolicy trzydziestomilionowego narodu nie ma najwidoczniej ludzi, którym troska o pierwszą scenę polską leżałaby na sercu. Czy tylko mam tu na myśli tzw. czynniki „miarodajne”? Czy wyobrażam sobie zamknięcie La Scali, lub „Narodowego Divadla”, które by przeszło tak niepostrzeżenie nie wywołując masowego poruszenia w społeczeństwie, bo — może pochodów demonstracyjnych, żądających otwarcia i — zabezpieczenia trwałej egzystencji opery narodowej? Ale u nas panuje cisza... Snać i czynniki miarodajne i społeczeństwo *nie odczuwa braku opery*. Obojętnym mu jest widocznie, co mieści w sobie gmach Pod filarami — scenę operową, czy jeszcze jedną — operetkę! Czy nie należy więc powiedzieć artystom wyraźnie, aby jak ongis trubadurowie francuscy poszli z pieśnią w świat. — Po co ta smutna wegetacja bez jutra i bez — dzisiaj! Takie posunięcie byłoby może i bardziej szczere i bardziej celowe niż to, na co patrzymy. Kto wie, może obudziłoby wreszcie *istotną tęsknotę* społeczeństwa naszego do opery w całym tego słowa znaczeniu.

*Wł. B.*

## ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Katolicyzm we Francji, jak to wykazuje nowa książka kardynała Verdier „L'eglise devant le monde moderne” przechodzi obecnie ciekawy przełom. Zwłaszcza w dziedzinie socjalnej. Katolicy francuscy wyraźnie oświadczają, że chcą nowego porządku społecznego, lepiej odpowiadającego sumieniu chrześcijańskiemu, niż dotychczasowy ustrój liberalno-kapitalistyczny. Wytyczne tego nowego porządku wskazały papieskie encykliki społeczne, a praktyczne jego podstawy w szczegółach opracowują słynne „Tygodnie Społeczne” we Francji, którym w tej pracy pomagają liczne kongresy i manifestacje zawodowe i lokalne.

Nowy biskup Marsylii, obejmując rządy diecezji, publicznie oświadcza, że jedyną ucieczką przed nędzą warstw pracujących są zawodowe związki chrześcijańskie. Jezuita ks. Henri du Possage w czasopiśmie „Etudes”, opierając się na encyklice Quadragesimo Anno, wyłuszcza praktycznie sposób przejścia od kapitalizmu do systemu sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę. Francuska Konfederacja Zawodów grupująca pracodawców, przystępuje do studiów nad programem organizacji, mającej służyć za podstawę do nowego opartego na zasadach chrześcijańskich porządku społecznego i ekonomicznego.

Katolicy francuscy zdają sobie sprawę, iż reforma ustrojowa proponowana przez żywioły radykalne i reprezentowane głównie przez komunistów i socjalistów nie prowadzi do celu, ponieważ uwzględnia tylko interesy klasowe, gdy tymczasem dzisiejsza ogólna pauperyzacja wymaga przemiany ustrojowej, która by zajęła się losem człowieka, jako takiego bez względu na to do jakiej warstwy klasowej należy. Katolicyzm francuski zrozumiał tę żywotną dziś prawdę, że wyznawcy nauki Chrystusa, chcąc należycie spełnić swą rolę społeczną muszą stanąć po stronie uciśnionych. Jednak na tej drodze, zmierzającej do reform ustrojowych, chwilami powstawało dla katolików francuskich pewne niebezpieczeństwo zbytniego solidaryzowania się z hasłami wysuwanymi przez lewicę francuską. Czujne oko jednak hierarchii Kościoła w czas musiało zapobiec zbyt ryzykownym posunięciom w kierunku haseł radykalnych, głoszonych przez niektórych katolików, czego choćby dowodem było w czasach ostatnich zlikwidowanie tygodnika „Sept”.

Komuniści francuscy od dłuższego już czasu usiłują przeniknąć swymi wpływami do elity umysłowej współczesnej Francji. Starania te niestety dają rezultaty nader smutne. Niedawno opinia publiczna została poruszona wiadomością o przyjęciu do College de France, tej najwyższej uczelni we Francji, dwóch aktywnych komunistów, Salomona i Vallona. Ten ostatni, biorący czynny udział w komitecie wykonawczym międzynarodówki komunistycznej nauczycieli, otrzymał katedrę psychologii. Niektórzy z przywódców komunistycznych probują nawet wprowadzić w błąd opinię katolicką.

Sekretarz generalny partii komunistycznej w Paryżu Thorez, niedawno w swym przemówieniu wołał pod adresem katolików, powołując się — na zdanie samego Lenina: „Powinniśmy się starać przyciągnąć do partii wszystkich robotników, którzy posiadają jeszcze wiarę w Boga. Jesteśmy absolutnie przeciwni najmniejszemu uwłaczaniu ich uczuciom i przekonaniom religijnym. Przyciągamy ich po to, aby ich wychować w duchu naszego programu”. Oczywiście katolicyzm francuski, znając ostateczną metodę komunistów przenikania do środowisk wierzących i rozsadzania organizacji katolickich od wewnątrz, ma się na baczności.

Jeżeli we Francji Kościołowi katol. grozi niebezpieczeństwo ze strony skrajnego radykalizmu, to niemniej dzieje się to w Anglii, gdzie w czasach ostatnich propaganda ateistyczna przyjęła tak olbrzymie rozmiary, że w parlamencie angielskim zgłosili dwaj deputowani partii konserwatywnej interpelację, w której zwrócili się do rządu z pytaniem jakie stanowisko zajmie wobec przygotowującego się na rok 1938 w Londynie Międzynarodowego Kongresu Ateistycznego. W odpowiedzi na interpelację minister spraw wewnętrznych, Sir Samuel Hoare wyjaśnił, że nie jest jeszcze pewny, czy kongres taki się odbędzie. Gdyby jednak usiłowano tego rodzaju zjazd



*Nowomianowani kardynałowie:* od lewej: *kard. A. Piazza, kard. E. Pellegrinetti, kard. A. Hinsley, kard. G. Pizzardo, i kard. P. Gerlier.*

odbyć w Londynie, to minister przedsięweźmie wszystko, aby do tego nie dopuścić, stosując się w tym względzie do opinii większości obywateli angielskich. Zdecydowana postawa społeczeństwa angielskiego sprawiła, że ateiści międzynarodowi usiłowali swój pierwotny plan zmienić i na posiedzeniu w Moskwie proponowali zwołać kongres nie do Anglii lecz do Francji. Sprzeciwił się temu jednak przywódca bezbożników sowieckich Jarosławski.

Propaganda ateistyczna w Anglii posługuje się b. wyrafinowanymi metodami. Pod pozorem obiektywnego zaznajamiania opinii społecznej z różnymi kierunkami marksizmu, ujmowanymi ze stanowiska „naukowego", powstał cały szereg tzw. Klubów książki lewicowej (Left club book), w których po prostu urządza się zebrania propagandowe na rzecz doktryny komunistycznej.

Za to w Stanach Zjednoczonych katolicyzm w dalszym ciągu zdobywa coraz to nowe tereny kulturalne. Do opinii tamtejszych mas, bez względu na ich wyznanie, przenika coraz więcej przeświadczenia, że socjalne wskazania Kościoła katolickiego, w obecnych projektach reformatorskich prezydenta Roosevelta mogą odegrać olbrzymią rolę.

Kościół w St. Zjedn. cieszy się ogromnym szacunkiem głównie dlatego, że podjął wielką misję wychowawczą, organizując wzorowe szkolnictwo. Z racji 50-lecia założenia uniwersytetu katol. w Waszyngtonie miały miejsce uroczystości, które odbiły się głośnym echem w całym kraju. Ojciec św. wystosował z tej okazji list do episkopatu w St. Zjedn., przypominając nowe konstytucje papieskie o studiach akademickich. Papież wyraża radość z racji jubileuszu uniwersytetu i podkreśla, że uczelnia ta stała się centrum narodowej chrześcijańskiej kultury.

Dzisiejsze czasy przełomowe i konieczność przygotowania do obecnych warunków życia kapłanów i świeckich, nadaje tego rodzaju uczelni szczególniejsze znaczenie. Dlatego Ojciec św. udziela swego błogosławieństwa uniwersytetowi w Waszyngtonie, aby jak najlepiej wypełnił swą misję.

Tragedią narodu niemieckiego jest obecny kulturkampf, który usiłuje już nie tylko wytworzyć przewagę państwa nad Kościołem, jak to było za czasów Bismarka, lecz usiłuje usunąć w cień samą naukę Chrystusa, wprowadzając na jej miejsce jakąś parodię religii o pierwiastkach germańskiego poganizmu. Wydaje się jednak, że eksperyment ten nie przetrzyma próby życia, ponieważ twórcy neopogaństwa niemieckiego, jak Rosenberg lub Ernest Bergmann nawet w komentowaniu mitologii starogermańskiej, popełniają rażące błędy. Ich inteligencja znajduje się w rażącej dysproporcji do zamierzonego tytanicznego celu stworzenia nowej religii uniwersalnej w XX wieku. —

Jest cechą znamienną, że w najnowszych czasach widzimy jakby powrót spaczonych form teokracji, która usiłowała władzy świeckiej nadać cechy mistycyzmu religijnego. Należy jednak wątpić, aby ludzie mogli normalnie rozwijać się pod kierownictwem takiej władzy, która w imię interesów państwa, próbuje naginać do swych przemijających celów odwieczny problem, jakim jest związek człowieka z Bogiem. —



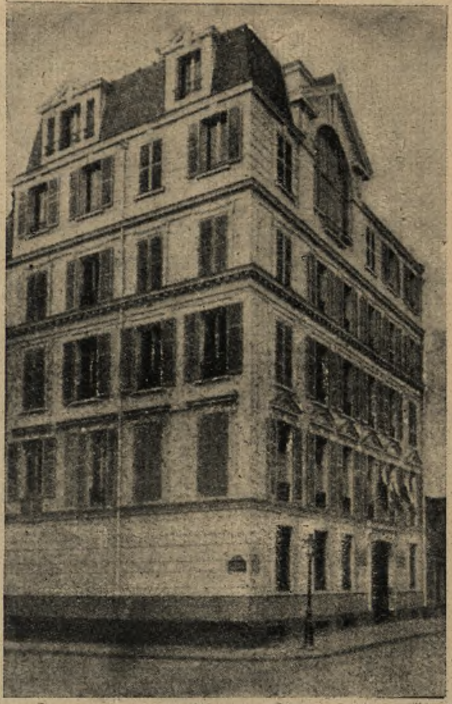


W szeregu innych krajów, jak Łotwa, Czechy, Szwajcaria, Kościół zdobywa coraz to nowe pozycje, np. na Łotwie dwie bulle papieskie zostały niedawno ogłoszone na synodzie archidiecezji ryskiej. Jedna z nich oddziela część terytorium archidiecezji ryskiej i tworzy z niej biskupstwo lipawskie, druga tworzy z Łotwy prowincję kościelną, podnosząc arcybiskupa ryskiego do godności metropolity. Fakt ten został przyjęty przez społeczeństwo katolickie i rząd, jako szczególny dowód przychylności Ojca św. dla Łotwy, którą jako Nuncjusz Apostolski poznał osobiście w 1920 r.

Jeszcze niedalekie te czasy, gdy Łotysze katolicy nie tylko nie mieli swojej diecezji, ani biskupa, ale i księży własnej narodowości. Początek pod samodzielność katolików Łotyszów położył metropolita mohylewski ks. arcybiskup Ropp, gdy w 1917 r. wyznaczył dla Łotwy, okupowany wówczas przez Niemców, specjalnego wikariusza generalnego. —

W Czechach odbył się niedawno w Pradze zjazd Chrześcijańskich Związków Zawodowych, w którym wzięło udział przeszło 400 delegatów. Obrady zjazdu stanowiły wielką manifestację na rzecz chrześcijańskich ideałów społecznych. Należy zaznaczyć, że chrześcijański ruch zawodowy w Czechach obejmuje obecnie przeszło 26 tysięcy członków w 268 związkach.

W Szwajcarii w ostatnich czasach daje się zauważyć nader intensywna akcja antymasońska, zmierzająca do likwidowania lóż i sekt wolnomularskich. W myśl wskazań władz kościelnych katolicy w Szwajcarii zwracają specjalną uwagę na apostolstwo prasy, jako jeden z najważniejszych czynników oddziaływania na masy. Dnia 14 listopada katolicka Szwajcaria obchodziła tzw. „Niedzielę szkoły". Akcja ta miała się przyczynić do spopularyzowania zasad katolickich w odniesieniu do nauczania i wychowania, które w tak dobitny sposób wyrażone zostały w encyklice Piusa XI „Divini Illius Magistri".



*Nowy Dom Polski w Paryżu.*

## Z PIŚMIENNICTWA

### Za granicą.

Chrześcijaństwo a komunizm.

Nie sposób pominąć milczeniem książki traktującej o stosunku chrześcijaństwa, doktryny pozaczasowej i ogólnoludzkiej, wobec komunizmu, tego najgroźniejszego i najbardziej żywotnego spośród światopoglądów i systemów współczesnych. Książką tą jest *Le Communisme et les Chrétiens (Komunizm a chrześcijanie*, wyd. Plon), rzecz, która ukazała się w Paryżu. Podstawę tej pracy zbiorowej jest studium o. Ducatillon, O. P., na temat: *Doktryna komunistyczna a doktryna chrześcijańska*, które stanowi doskonałe streszczenie i wykład systemu marksistowskiego. Obejmuje ono: materializm dialektyczny, teorię walki klas, komunistyczne pojęcie własności i komunistyczną postawę wobec religii. Nie jest to krytyka, lecz przeciwnie, najzupełniej obiektywne zestawienie dwóch omawianych doktryn.

Na resztę dzieła składają się wstęp wielkiego powieściopisarza francuskiego, gorącego katolika François Mauriac'a, opis sposobu traktowania religii w Rosji przez bolszewików — Aleksandra Marc'a, studium Berdiajewa na temat: *Osoba ludzka a marksizm (La personne humaine et le marxisme)*. Poza tym Denis de Rougemont zajmuje się przeciwstawieniem komunistycznego planu odmienienia świata z chrześcijańską zasadą, twierdzącą, że wprzód należy zmienić człowieka, co dopiero pociągnie za sobą w skutkach przemianę świata; Daniel Rops zaś wykazuje, że nic innego jak tylko niedbalstwo chrześcijan utorowało drogę marksizmowi.

Jak widać, nawet z tak pobieżnego przeglądu *Komunizm a chrześcijanie* porusza nadzwyczaj ważne i aktualne zagadnienia. Że książka ta nie pozostała na Zachodzie bez echa, najlepszym dowodem jest fakt, iż katolicki kwartalnik angielski *Arena* drukuje na czołowym miejscu przekład wstępu François Mauriac'a, a nadto cały swój ostatni numer poświęca marksizmowi. Wypełniają go bowiem artykuły takie jak: „Materializm dialektyczny", „Ekonomia marksistowska", „Historia a walka klas", „Marksizm a sztuki", „Marksizm a poezja angielska", „Sowieckie filmy", „Sowiecka muzyka"... itp.

Warto jeszcze w paru słowach wrócić do wstępu Fr. Mauriac'a. Punktem wyjścia jego jest wezwanie komunisty Thoreza: „Ka-

tolicy, wyciągamy do was ręce". Pytanie. czy mamy te ręce schwycić, czy też je odepchnąć stanowi, zdaniem Mauriac'a, najważniejsze bodaj zagadnienie, na które w obecnych czasach należy dać odpowiedź.

Rozpatrzywszy obie strony zagadnienia na zakończenie — Mauriac przypomina, że często, niestety, w tego rodzaju dylematach wyboru dokonywają za nas „nasze namiętności, pragnienia i niechęć, podczas kiedy jesteśmy przekonani, że wciąż jeszcze sprawę rozważamy".

„Tak, w artykule w *Europe*, młody katolik o komunistycznych tendencjach upewnia się za pomocą przypuszczenia, że może w istocie prawdziwymy przyjaciółmi Boga są ci, którzy zaprzeczają Jego istnienia, a Jego najzaciętsi wrogowie znajdują się w szeregach Jego wyznawców; — wmawia w siebie, że chrześcijanin nie podlega złudzeniu, idąc „w kierunku promiennych sił wszechświata". Cóż odpowiemy na to wyrażenie, kończy François Mauriac? Że dość mamy krasomówstwa, żadna bowiem moneta obiegowa nie doszła do takiego spodlenia, jak słowa..."

*Rola Papieża w polityce.*

Jak słusznie zauważa A. R. Birby — na łamach tejże *Areny* — Stolica święta jest obecnie taką potęgą, a charakter panującego Ojca św. wywarł tak znaczny wpływ na świat powojenny, że książka zatytułowana *Papież w polityce (The Pope in Politics)* jest niezmiernie à propos, mimo, że 100, a nawet 50 lat temu zdawałoby się, że zbraknie do niej tematu. Niestety, książka ta traci prawie całą swą wartość przez fakt, że autor jej, William Teeling, opiera wszystko na fałszywej tezie brzmiącej mniej więcej tak:

„Pius XI, otoczony przez starych i oddalonych od świata Włochów, rządzi Kościołem katolickim za pomocą przestarzałego mechanizmu z samego centrum idei „totalistycznej". Wciąż mając w pamięci marsz bolszewików na Warszawę, ze strachu przed komunizmem stał się On bezsilnym sprzymierzeńcem „państw faszystowsko-totalistycznych". Jest nieżyczliwie usposobiony do „młodzieży" i „demokracji". Nie ufa katolikom w krajach demokratycznych, a specjalnie w Stanach Zjednoczonych — i chciałby zmniejszyć ich znaczenie w Kościele".

Zdaje się, że nie trudno zbić te twierdzenia p. Teelinga tylko za pomocą samych faktów.

*Życiorys św. Augustyna.*

Za to doskonałym dziełem jest angielski życiorys św. Augustyna *(St. Augustine of Hippo)*, którego autorem jest o. Hugh Pope, O. P., S. T. M., D. S. S.

Książka ta ma dwie pierwszorzędne zalety, (które umiejętnie podkreśla Philip Hughes). Po pierwsze, autor zna dokładnie i to prawdziwie dokładnie wszystkie czternaście łacińskich tomów *in — folio* pism św. Augustyna, będące najlepszym kluczem do jego życia. Po drugie zaś forma książki jest tak jasna, przystępna, a zarazem artystyczna, że olbrzymia erudycja autora bynajmniej nie odstrasza ani nie przytłacza przeciętnego czytelnika.

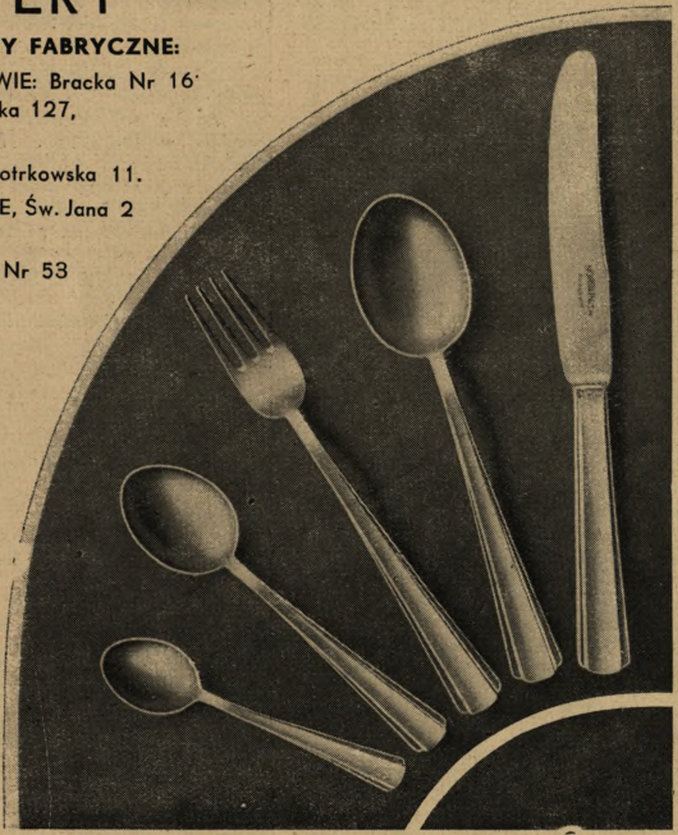
*Słownik biografii narodowej.*

Śmiało można powiedzieć, że biografia jest rodzajem obecnie bardzo modnym. Literaci i uczeni Zachodu toczą spory czy jest ona nauką, czy sztuką, i budują rozmaite teorie na ten temat. Jest pewne wydawnictwo angielskie w tej dziedzinie, którego ostatni tom ukazał się niedawno, a które zasługuje na specjalną uwagę. Tytuł jego brzmi: *The Dictionary of National Biography (Słownik biografii narodowej)*, założony w r. 1882 przez George'a Smitha. *Słownik biografii narodowej* liczy już przeszło 70 tomów i redagowany jest obecnie przez J. R. H. Weavera. (Wydawcami są *Oxford University Press* i *Humphrey Milford)*. Nowy tom tego monumentalnego dzieła obejmuje lata 1922—1930 — i nie ustępuje w niczym chwalebnym tradycjom swych poprzedników. *Słownik* ten pokrywa wszelkie pola życia narodowego Wielkiej Brytanii. Wśród życiorysów, wypełniających jego karty, spotykają się i członkowie rodziny królewskiej (np. Queen Alexandra), przywódcy polityczni Anglii i Irlandii (jak np. Lord Balfour, Lord Oxford, Asquith, Lord Milner, Lord Roseberg, Mr. Bonar Law, T. P. O'Connor, William O'Brien, Arthur Griffith), wybitni wodzowie z czasów wielkiej wojny. (np. Lord Haig, Lord Horne, Lord Rawlinson), przedstawiciele literatury (np. Thomas Hardy, Robert Bridges, D. H. Lawrence, Conan Doyle, Edmund Gosse i też Sidney Lee, były redaktor „D. N. B."), przedstawiciele nauki, sztuki, sceny, podróżnictwa, etc. etc. Jak stwierdza C. E. B. sprawozdawca literacki *The Illustrated London News*, nowy tom *Słownika D. N. B.* tym się różni od poprzednich, że przedmiotem jego są ludzie, których żywoty przypadały za pamięć autorów i czytelników. Ten współczesny charakter odbija się szczególną nutą w życiorysach, pisanych nie tylko na podstawie dokumentów, ale i na podstawie znajomości osobistej, jaka łączyła sławnych ludzi z ich biografami. Biografowie ci zresztą to również niebylejacy pisarze i uczeni, że wymienimy tylko: prof. Lascelles Abercrombie, Dr Richarda, Aldingtona, Sir Georgea, Arthura, Sir Arthura Keitha, Harolda Nicolsona i Sir Hugh Walpolea. Niewątpliwie założenie takiego *Słownika biografii narodowej* było pięknym pomysłem. Piękny to pomysł i pięknie wykonany, stanowiący prawdziwy pomnik życia narodowego kraju.

*Jeszcze jeden życiorys.*

Książę i księżna Kentu należą zapewne do najpopularniejszych w Polsce przedstawicieli angielskiej rodziny panującej. Są oni również bardzo popularni w swym własnym kraju, czego najlepszym dowodem gorące przyjęcie, jakie spotkało świeżo wydany życiorys księżny Mariny pt. *Intimate Life Story H. R. H. the Duchess of Kent.* Życie księżny Kentu jest opisane i przedstawione z jej osobistą aprobatą przez Bar. Helenę von-der-Hoven. Wśród swych ciekawych spostrzeżeń autorka podkreśla uderzające podobieństwo pomiędzy ks. Mariną, a jej cioteczną babką, królową





Aleksandrą. Podobieństwo to dotyczy nie tylko wyglądu zewnętrznego, ale i charakterów. Poza tym ks. Kentu przypomina również królowę Aleksandrę w swym zainteresowaniu działalnością charakterystyczną. Okazuje się, że zarówno ks. Marina, jak i jej małżonek są wielkimi miłośnikami książek, z tą różnicą tylko, że książę woli powieści, podczas gdy jego żona przekłada nad nie biografie i pamiętniki. Książkę ożywia 32 fotografie i wyraźny zmysł humoru autorki, która umie go także odnaleźć i u tych, których opisuje.

*Nowa powieść poety-laureata.*

Jak wiadomo, istnieje w Anglii instytucja *poety-laureata*. Jest to udzielana przez króla godność dożywotnia. Ponieważ zaś poeci w Anglii żyją na ogół albo bardzo krótko, albo bardzo długo, godność ta zaś bardzo młodym z natury swej nie przypada w udziale, toteż poeci-laureaci rzadko się zmieniają. Poeta-laureat otrzymuje pensję od dworu i obowiązkiem jego jest tworzenie odpowiednich poematów na wszelkie „oficjalne okazje". W zeszłym stuleciu doskonałym typowym poetą-laureatem był Tennyson.

Obecny poeta-laureat, John Masefield, jest nie tylko poetą, ale także powieściopisarzem i dramaturgiem. W ostatnich zaś czasach najwięcej poświęca się powieści. Teraz ukazała się nowa jego powieść, która zainteresowałaby specjalnie myśliwych polskich, ponieważ obraca się ona dokoła kwestii polowania na lisy. *(The Square Peg, or the Gunfella*, Heinemann). Zgadzamy się z opinią mies. *The London Mercury*, że tak bardzo mamy obecnie na myśli masowe rzezie ludzkie, iż powieść skierowana przeciwko mordowaniu pojedyńczych okazów rasy lisiej, nie może dziś wywołać tak gorących sporów, jakie by wzbudziła, powiedzmy, 25 lat temu. Autor atakuje bowiem tych, którzy po dziś dzień uważają za przestępstwo zastrzelić lisa, a za mały sport przyglądać się, jak go rozszarpuje zgraja psów. Nie chodzi tu o żadne poważne problemy polityczne, ani socjalne. Książka jednak, mimo chwilami przesadnej satyry, stanowi małą lekką lekturę, przy czym Trampton, jej główny bohater, jest ciekawym nowoczesnym typem. *M. Buyno.*

## W Polsce.

*Akademiom literackim* poświęcony został inauguracyjny odczyt Zjednoczenia Pisarzy Katolickich w Warszawie. Zarówno sensacyjny w obecnych czasach temat, jak i osoba prelegenta, którym był profesor Stanisław Stroński, znakomity znawca stosunków kulturalnych, wzbudziły ogromne zaciekawienie i ściągnęły liczną publiczność. W przemówieniu wstępnym prezesa Zjednoczenia uwydatniona została rola szczególna świeckich pisarzy katolickich. Stanowią oni ważny odcinek wielkiego frontu katolickiego w Polsce. Nie przyświeca im wyłącznie ten cel, aby zrzeszać w ścisłych kadrach twórców jednego tylko kierunku. Zadaniem ich jest także jednoczenie wszystkich ludzi dobrej woli i wysokiej etyki dla wspólnej obrony narodowych i ogólnoludzkich wartości, zagrożonych dziś z wielu stron.

W ofensywie pokoju i miłości, jaką Kościół przez usta Ojca św. Piusa XI osobliwie w tych groźnych czasach poleca, przypada pisarzom zaszczytne i odpowiedzialne zadanie: — Służba łączności między główną armią Chrystusową, a jej przyszłymi sprzymierzeńcami i jej olbrzymim, ani w połowie dotychczas niewyzyskanym „zapleczem".

Wyrażeniem wdzięczności i uznania Kardynałowi Kakowskiemu jako twórcy wielkiej i na wskroś nowoczesnej placówki kulturalnej w Domu Katolickim, zakończył się prolog wieczoru.

Gdy na estradę wstąpił prof. Stroński, od razu nawiązała się nić sympatii pomiędzy prelegentem a słuchaczami. Rozkoszowano się finezyjnym dowcipem, prześwietlającym pełne erudycji wywody. Dzieje akademij, od ich arkadyjskiego zarania, aż po nasze czasy, ujął prof. Stroński w zwartą całość.

Słuchacze dowiedzieli się, że po wsze czasy akademie bywały raczej twórczyniami stylów schyłkowych, a nie źródłami prądów w literaturze. Stanowiły też od wieków zarówno cel ambicji, jak i szyderstwa. Przytoczone przykłady stwierdzały dowodnie, że zarówno w czasach przedchrześcijańskich, jak za renesansu, baroku i rokoka — zdarzały się w akademiach te same niedociągnięcia, jakie przyniosły niepożądany rozgłos i młodocianemu przybytkowi naszych polskich nieśmiertelnych...

Z błyskotliwością, godną szczytów komediowego dowcipu akademika de Flersa, prof Stroński zamknął swój wywód taką optymistyczną konkluzją: „Lepiej jest, gdy młoda akademia niedorasta jeszcze do poziomu kultury całego społeczeństwa, niż gdyby miała przerastać je o głowę i być jedynym szczytem na nizinach".

*Dobrą wróżbą* normalizacji zawikłanych stosunków w P. A. L. jest powołanie do niej Jana Lorentowicza. Po niepowetowanej stracie, jaką było ustąpienie znakomitego poety i dramaturga K. H. Rostworowskiego, wybór Lorentowicza świadczy o zamiarach cofnięcia się z bezdroża, w jakie zabrnęło dotychczasowe grono „nieśmiertelnych" pod fanatycznym patronatem swej starszyzny. W każdej normalnej akademii literackiej krytyk tej miary i tego umiaru byłby nabytkiem pożądanym i zająłby miejsce poczesne. Nieobliczalne wyskoki, tendencyjne ignorowanie cudzych zasług, uparty bojkot haseł popularnych w społeczeństwie, niezawodnie ustaną, gdy żywioł ładu i dojrzałej kultury wzmoże się w środowisku akademickim przez współpracę umysłowości europejskiej i wszechstronnie wyrobionej.

Świat katolicki wita nowego akademika z zadowoleniem, ufając, że ten bezstronny i przenikliwy pisarz w dążeniach swoich, (choć jeszcze nie w wyznaniu wiary) kroczyć będzie po tej samej drodze, którą wyznacza polskiej kulturze ideał chrześcijański.

M a r i a   R o d z i e w i c z ó w n a otrzymała order Polonia Restituta. Z radością dowiedziało się o tym społeczeństwo polskie, które moralnie obdarzyło już oddawna odznaką najwyższego swego uznania i wdzięczności nie tylko pisarkę znakomitą, ale obrończynię kresów wschodnich. Wiarę katolicką i patriotyzm płomienny potrzymywała Rodziewiczówna na ziemiach, zagrożonych najbardziej wynarodowieniem i atakami wojującego bezbożnictwa. „Niedobitowscy" — to książka, będąca najlepszym świadectwem, jak oceniała Rodziewiczówna niebezpieczeństwo, idące od wewnątrz kraju, gdy uporczywie wydziedziczano z opieki żywioł rdzennie polski dla chimery idealnego współżycia z wrogim państwu polskiemu elementem.

Order Polonia Restituta na piersiach Rodziewiczówny — to znak, że jej zasługi społeczne i patriotyczne zostały wreszcie ocenione i uznane.

*Nagrodę literacką* miasta Warszawy za rok ubiegły otrzymała p. Maria Kuncewiczowa — przypuszczalnie za powieść „Dni powszednie państwa Kowalskich". Pierwszy ten utwór, napisany specjalnie dla radia, był udatną próbą „powieści mówionej" o życiu dwojga *szarych* ludzi, spotykanych w stolicy na każdym kroku. Ich drobne, pospolite kłopoty, troski, ich maleńkie radości są tematem szeregu nowel, a raczej obrazków obyczajowych, napisanych pod wspólnym mianownikiem tytułu. Drugim dziełem, mającym Warszawę za temat, jest zbiór felietonów pt. „Dyliżans warszawski". Ostatnią powieść Kuncewiczowej („Cudzoziemka") przyjęła krytyka z uznaniem. Utwór ten przedstawia psychologię kobiety, która przez specyficzne warunki, jak zawiedziona miłość, niedobrane małżeństwo i zwichnięta kariera artystyczna — staje się typem nieznośnym, obcym w rodzinie i w społeczeństwie.

Pełna swoistych powikłań i osobliwego manieryzmu twórczość p. Kuncewiczowej wymaga charakterystyki odzielnej. Obszerniejszą recenzję z „Cudzoziemki" zamieścimy niebawem.

*Alinie Świderskiej*, autorce powieści biograficznej z życia Ryszarda Wagnera, należałaby się również obszerniejsza krytyka. Niestety, szczupłe ramy niniejszej kroniki pozwalają tylko zasygnalizować Czytelnikom ukazanie się drugiego tomu pracy, ze wszech miar godnej polecenia. Zarówno część pierwsza, pt. „Prometeusz i Perliczka", wydana przed półtora rokiem, jak i następna — „Królowie" są wynikiem studiów źródłowych i sumiennych. Nikt może w Polsce nie był tak predestynowany do napisania powieści o Wagnerze, jak właśnie Świderska. Jej wybitna muzykalność, przenikliwość psychologiczna i duża zdolność narracyjna przy całkowitym i wnikliwym opanowaniu tak bogatego materiału bibliograficznego sprawiły, że i drugi z kolei etap życiowej targaniny genialnego kompozytora czyta się jak powieść... sensacyjną, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Sensację stanowi tu wierny, a jakże tragiczny obraz przeżyć wewnętrznych twórcy „Tristana i Izoldy" w najcięższym bodaj pięcioleciu jego artystycznej kariery. Umiejętnie wpleciony w fabułę autentyczny pamiętnik Wagnera, oraz doskonała, często kilkoma słowami wydobyta charakterystyka otaczających go postaci czyni z tej książki lekturę nie tylko zajmującą, ale i pożyteczną. Z kart powieści wyłania się plastycznie postać „króla bez ziemi" — artysty, skazanego na długą i gorzką bezdomność, zanim los uśmiechnie się wreszcie łaskawiej i pozwoli wytchnąć nieco po latach tułaczki u boku króla-melomana.

*W. Miłaszewska.*

*DR FR. KSAW. SEPPELT (Dr Klemens Löffler). Dzieje papieży od początków Kościoła do czasów dzisiejszych.* Wydawnictwo R. Wegnera. Poznań.

Ludzie zajmujący się dziejami Kościoła i jego wewnętrznych urządzeń, żalili się nieraz na zadziwiającą ignorancję w tym przedmiocie nie tylko u akatolików, ale i u szerokich rzesz samych katolików. Zmarły niedawno uczony protestancki A. Harnack czynił zarzut niemieckim studentom, że prawdziwa historia Kościoła stanowi dla nich całkowitą „terram ignotam".

A cóż powiedzieć o znajomości papiestwa, tej najistotniejszej instytucji w Kościele, o jego roli jaką na przestrzeni 19 wieków spełniali jego chociażby najwięksi przedstawiciele? Szeroki ogół nawet katolicki w ogóle jej nie ma, wielu czerpie ją

ze źródeł stronniczych, często z niepoważnych powieści!

Niewątpliwie niemało wpłynął na to smutne zjawisko brak dzieła ujmującego całokształt dziejów papiestwa, które by szerokim rzeszom katolickiej inteligencji, źródłowo i rzeczowo otworzyło perspektywę na tę jedyną w dziejach świata „dynastię" rządzącą już od 19 stuleci duszami najbardziej oświeconej części ludzkości.

Chodziło przy tym o to, ażeby w możliwie nie wielkim skrócie ująć istotną działalność wszystkich papieży, a nie gubić czytelnika w labiryncie faktów poszczególnych panowań.

Z tej właśnie racji, jako za obszerne, nie obejmujące zresztą całości przedmiotu, dzieło L. Pastora nie spełniało wspomnianego zadania.

Nie potrzeba chyba dodawać, że praca wymagała głębokiego i wszechstronnego przygotowania, jeśli się zważy, że należało dać dzieło źródłowo udokumentowane, i obiektywnie bezstronne.

Podjęli się zadania i wykonali, je w r. 1933 dwaj uczeni niemieccy, katolicy: dr Fr. Seppelt profesor historii Kościoła na Uniwersytecie Wrocławskim, oraz dr Klemens Löffler dyrektor biblioteki uniwersyteckiej w Kolonii. A że solidnie swą pracę wykonali, świadczy fakt, rozejścia się Dziejów w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy w ciągu dwu lat.

Gdy w kołach polskich wydawnictwo niemieckie i jego powodzenie stało się wiadomym, wyrażono życzenie ażeby przyswoić je literaturze również polskiej.

Aby jednak na terenie polskim mogło spełnić swoje cele, należało wydawnictwu niemieckiemu nie tylko dać polską szatę językową. Trzeba było je uzupełnić „do rzeczy polskich" bez szkody wszakże dla organicznego toku opowiadania oryginału. Miała bowiem ta solidna skądinąd robota niemiecka jedno manko. Była zbyt niemiecka. Mało, co łatwiej zrozumieć, ale nieraz stronniczo informowała o Kościele polskim.

Życzenia te podjęło się zrealizować zasłużone Wydawnictwo Polskie Wegnera z Poznania. Postarało się o dobre tłumaczenie mgra J. Kozolubskiego. Profesor U. P. dr T. Silnicki dał uzupełnienie „do rzeczy polskich".

Jeśli pod względem rzeczowym należy się o polskim wydawnictwie Dziejów wyrazić z pełnym uznaniem, to pod względem formy typograficznej klient polski spotkał się z przemiłą niespodzianką. „Uczyniliśmy wszystko, piszą wydawcy, co było możliwe dla uprzystępnienia czytelnikowi polskiemu tej niezmiernie interesującej książki, nadając jej zarazem szatę godną takiego tematu". Czytelnik biorąc do ręki książkę, może tylko stuprocentowo potwierdzić takie wyznanie.

Bo też nie codziennie napotykamy w kronice wydawniczej polskiej na taki nakład trudu, pietyzmu i graficznej inwencji, jaką Wydawnictwo Wegnera włożyło w Dzieje Papieży. W dobie kiedy roi się od lichych, ubogich, a nieraz tandetnych druków, dzieło podane przez Wydawcę w takim dostatku graficznym umieścić trzeba w kategorii luksusowych. Imponuje. Swą strojną, wielkopańską szatą bije bezkonkurencyjnie wydawnictwo niemieckie. 968 pierwszorzędnie wykonanych ilustracyj (21 wielobarwnych) zdobi 712 stron tekstu. A są wśród nich nierzadko arcydzieła mistrzów pędzla.

Nie pożałuje 48 złotych kto tak estetycznym nabytkiem wzbogaci swą bibliotekę, bo zdobędzie pewny i bynajmniej nie pobieżny przewodnik po bujnej i bogatej działalności kościelnej, politycznej i kulturalnej papieży na przestrzeni całych 19 wieków.

*dr Szambel.*

*Inż. Szeruda* — Gustawa Morcinka. —

Mało stosunkowo znamy Śląsk i Ślązaków, chociaż opowiadania: Kossak-Szczuckiej i właśnie Morcinka, o tym pięknym kraju i jego dzielnych mieszkańcach, uczyniły w ostatnich latach, pewien wyłom w tym naszym zaniedbaniu. —

W ostatniej swej powieści, zapoznaje nas Morcinek, z całym szeregiem pracowników dużej kopalni węgla na Górnym Śląsku, ludzi żywych, z ich wadami i zaletami. Przeżywa się z nimi razem: zdarzenia niezwykłe i zwykłe prace i troski codzienne.

Główna postać: Inż. Szeruda — dzielny i dobry w gruncie rzeczy człowiek — wykolejony przez zawód miłosny, jest szorstkim i pozornie niewyrozumiałym szefem licznego grona podwładnych mu: inżynierów, sztygarów i robotników, i potrzeba dopiero katastrofy w kopalni, by nim wstrząsnąć, a raczej by z niego strząsnąć, pewien nalot brutalności i wydobyć na jaw, jego rzeczywisty charakter: miękki i szlachetny.

Za styl, piękny język i wielki talent, Morcinka chwalić, jest właściwie już zbyteczne, gdyż pod tym względem wyrobił już sobie zupełnie zasłużone stanowisko pomiędzy naszymi powieściopisarzami młodszej generacji.

Toteż nic dziwnego, że czytelnik, z prawdziwym żalem zamyka tę piękną książkę. —

*L. 59.* Tomasza Meissnera — ma wszystkie zalety utworów, tego wyjątkowo zdolnego pisarza.

Piękny język, niezmiernie plastyczne opisy, wstrząsające sceny i doskonałe typy osób przesuwających się przed oczami czytelnika, zachwycają go od początku do końca.

Trochę, zdaje się, fantastyczna opowieść, z czasów wielkiej wojny, o wyprawie załogi balonu sterowego L. 59, z Niemiec do afrykańskich kolonii niemieckich, doskonałe opisy wytrwałych wysiłków przy budowie sterowca, jego walki z burzą, wreszcie wspaniała bitwa powietrzna, z przemagającą eskadrą lotniczą angielsko-włoską, entuzjazmują wprost czytelnika!

A ogólne wrażenie książki — nie wiem czy zamierzone prace autora — to smutne refleksje, że tyle pracy, pieniędzy, dzielności i patriotyzmu, swoiście, choć z dobrą wolą pojętego, marnuje się, na tym dziwnym naszym świecie i zamiast na korzyść ludzkości, obraca się na jej zgubę. —

*Dr FELIKS BURDECKI. Telewizja.* Wyd. M. Arct. W-wa. Str. 57 z ilustr.

Oryginalnym pisarzem, poruszającym najróżnorodniejsze problemy nauk przyrodniczo-technicznych, jest F. Burdecki. Wydał on wiele książek, pisanych w sposób przystępny dla każdego. Niedawno ukazała się jego książka pt. „Telewizja", czyli jak człowiek nauczył się widzieć na odległość. Książka ta obrazuje całokształt pracy inżynierów nad rozwiązaniem problemu przesyłania obrazów drogą telegraficzną, lub radiową. Myśl ta zaczęła się budzić wśród uczonych już na początku XVII stulecia, gdy wynaleziono lunetę, lecz wykonalną stała się ona na początku XIX w. (ok. r. 1821, gdy zbadano własności przewodzenia elektrycznego i zbudowano tzw. komórkę fotoelektryczną). Prace nad wykonaniem aparatu telewizyjnego rozpoczęto dopiero w II połowie XIX w. Wówczas to Paweł Nipkor zbudował aparat ze specjalną tarczą, rozkładającą obraz na części. Poza Nipkorem usilne prace rozpoczęło wielu innych uczonych, polscy wynalazcy Szczepanik i Wulfha. Lecz to, co dotychczas zostało dokonane, nie dało zastosować się w praktyce. Pierwsze prawdziwe sukcesy zaczęto osiągać na początku naszego stulecia, wprowadzając do dawnych aparatów różne ulepszenia. Poważnym sukcesem było tu zbudowanie tzw. rury Brauna, która dzisiaj jest niezastąpiona w aparatach telewizyjnych. Najpoważniejsze zdobycze w dziedzinie telewizji osiągnęły niewątpliwie Niemcy, dając aparaty telewizyjne do użytku publiczności. Polska nie pozostaje w tyle za innymi państwami, prowadząc prace w Państw. Inst. Telekomunikacyjnym.

*I. H.*

*JAHANNES MASSEN: Bis an die Sterne.* Herder — Freiburg, str. 246 + 6 ilustr., br. 3,00 Rmk, opr. 3,80 Rmk. To książka dla młodzieży męskiej. Aż do gwiazd pragnie porwać młodzieńczą myśl, wodząc ją wpierw po świecie przyrodzonym, by wykazać podziw jaki należy się cudom przyrody i dziełom rąk ludzkich a ostatecznie Stwórcy wszechrzeczy.

Książka ta jest zbiorem nowel, opisów podróży, podań historycznych i pięknych wierszy ideowych słynnego dra Klausnera. Praca pod względem graficznym odpowie delikatnym i wybrednym nawet gustom. To książka z rzędu tych, w której każdy z młodzieży znajdzie coś dla siebie. Będzie to zatem podarek, który w obdarowanym wywoła niezawodnie radość.

Podobną książką jest praca znanej *Idy Coudenhove* „Der Kristall" tegoż wydawnictwa. Zawiera str. 312 + 16 ilustracji. Brosz. 3,50 Mmk, opr. 4,80 Rmk. Przeznaczona jest dla dziewcząt i należałoby dodać, że jest w doborze materiału jeszcze ciekawsza od poprzedniej. Są tam ilustracje wielobarwne, jednobarwne, rysunkowe i wycinanki. Spośród rozdziałów zaś jest co wybierać, bo jest ich przeszło czterdzieści. Napotka się kilka legend ciekawych, nieco nowel, trochę wierszy, ale i sporo opowiadań z życia, podróży i sportu. Książka pod każdym względem dobra.

Ze względów praktycznych należy wspomnieć, że na wszystkie książki udzielają wydawnictwa niemieckie 25% zniżki dla zagranicy.

*W. R.*

*Na kawalerce* P. G. Wodehonse'a, powieść tłumaczona dobrze z angielskiego, przez dra J. P. Zajączkowskiego, nie może być chyba zaliczona do dzieł literackich, mających trwałą wartość!

Uśmiać się chwilami można i gdyby jaki zdolny autor-farsa, przerobił to opowiadanie na scenę, a zagrali ją nasi aktorzy z Teatru Letniego w Warszawie, to widownia byłaby na pewno zapełniona i słuchacze rozchodziliby się zadowoleni, bo niemożliwie zawikłane zawikłania, rozwikłujące się w nieprawdopodobnym tempie, są zabawne, a śmiech, w tych niezbyt wesołych czasach, jest pożądany. —

Więcej trudno o tym utworze coś powiedzieć. —

Zresztą każdy, kto ma zamiar przedsięwziąć dłuższą podróż kolejową, niech sobie tę książkę kupi, a sam się o jej wartości przekona. —

*JANUSZ MEISSNER. Zwycięstwo.* Z Czyt. nr 75.

Odbywa się emocjonujący wyścig lotniczy. Samolot polski zmuszony jest lądować wśród piasków Sahary wskutek defektu w motorze. Nadomiar złego mechanik rozchorowuje się ciężko. Na szczęście w pobliżu miejsca wypadku znajduje się młody chłopiec polski, syn emigranta, i zastępuje chorego lotnika, walnie przyczyniając się do zwycięstwa.

*ARKADY FIEDLER. Kanada pachnąca żywicą.* Nakład Roju.

Kiedy się bierze do ręki książkę Fiedlera, znikają nam sprzed oczu cztery ściany pokoju, ulice miasta i przed nami zjawia się nagle bezkres puszcz i oceanów, po których odbywamy podróż wespół z autorem-przyjacielem. Fiedler w przedziwny sposób umie nawiązać serdeczny kontakt z czytelnikiem. Już po przeczytaniu kilku kartek zniewala po prostu do przyjaźni i doprawdy trudno sobie wyobrazić, aby — przy spotkaniu się z nim — nie rzec mu po imieniu: „How do you do old friend?" Takim jest Fiedler. Jego książki owiane są czarem lasów i rzek, przepojone oddechem olbrzymich przestrzeni, złocą się słońcem, pachną żywicą...

*ZAJMUJĄCE CZYTANKI* (seria V). *S. KOSSUTHÓWNA. Pod gwiaździstym sztandarem.* Czyt. nr 93. Wyd. M. Arcta. Cena 0,40.

W Chicago żyje i pracuje zecer Feliks, którego los zagnał tutaj, daleko od ojczyzny. Burzliwe przygody życiowe i walka o byt nie stłumiły w sercu jego głębokiego poczucia polskości. Uczy swego wnuka kochać kraj rodzinny i miłość ku niemu budzi w sercach na wpół wynarodowionych towarzyszy. Echa wojny oraz imię Komendanta Piłsudskiego znajdują żywy oddźwięk w sercach Polaków zza oceanu. Autorka ukazała życie emigrantów, płynące podwójnym nurtem: *pod gwiaździstym i pod biało-amarantowym sztandarem.*

*L. ŻYCKI-MAŁACHOWSKI. W państwie podziemnym.* Czyt. nr 94. Wyd. M. Arcta. 1936, cena 0,40.

Zbyszek wraz ze swą towarzyszką przeżywa fantastyczną przygodę. W noc świętojańską oboje zawędrowali do podziemnego królestwa karłów. Przed oczyma dzieci odkrywają się skarby odwiecznej kultury. To wszystko, o czym marzy ludzkość dzisiejsza, w państwie podziemnym stało się już rzeczywistością. Cuda techniki i wynalazków uprościły życie mieszkańców, którzy cieszą się pieknem swojej natury, zachowującej niezwykłe okazy flory i fauny.

*A. DARKOWSKI. Wielki spływ.* Czyt. nr 95. Wyd. M. Arcta. Warszawa.

Sześciu chłopców z Brześcia n/Bugiem wyrusza na wycieczkę kajakową. W drodze spotykają ich liczne przygody. Na obóz dzielnych bohaterów napada gromada „bażantów". Życie się z żywiołem wodnym wyrabia nie tylko mięśnie, ale kształci również charaktery chłopców, ucząc ich odwagi, przytomności umysłu i poświęcenia.

*Z. BARDÓWNA. Wielka gra.* Czyt. nr 97. Wyd. M. Arcta. Warszawa.

Na dwóch brzegach rzeki rozłożyły się obozem dwie drużyny harcerskie dziewcząt. Pewnego dnia postanawiają rozegrać między sobą „Wielką grę" — grę życia. Punktami wygranej są dobre uczynki, dzielność, sprawność i odwaga. Widzimy jak Hela z obozu Zielonych ratuje małego pastuszka, jak wątła Marysia uczy się twardej służby dla dobra powszechnego. Przy ognisku harcerskim kształtują najszlachetniejsze porywy młodości i „Wielka gra" zostaje zaszczytnie wygrana przez obie strony.

# Dział Kobiecy

### DLA DUSZY

*W czymże nadzieję moją, w czymże położę ufność moją, jeśli nie w samej wielkości miłosierdzia Bożego i w samej nadziei łaski Bożej.*

*A więc chociażbym miał ku pomocy i ludzi dobrych i braci pobożnych i przyjaciół wiernych i księgi święte i piękne rozprawy i słodkie a pobożne pienia: wszystko to na mało się przyda i mało pokrzepi, kiedy mnie łaska odstąpiła, a zostawiony jestem ubóstwu i nędzy mojej. Wtedy nie masz lepszego lekarstwa jak cierpliwość i zupełne a pokorne poddanie się woli Bożej z zaprzaniem siebie samego.*

Tomasz à Kempis.
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

## *Z NOWYM ROKIEM!*

***Pragniemy i życzymy sobie wzajem, aby w tym Nowym Roku uśmierzyła się nienawiść zbiorowa, znikło na świecie straszne okrucieństwo wojny i rozpętanie chciwości, aby myśl ludzka wróciła do Tego, który w ubóstwie nakazywał: miłość, przebaczenie i służbę dla Pana w radości.***

***REDAKCJA***

## O CO DOPOMINA SIĘ MŁODZIEŻ POLSKA W AMERYCE?

„Dział Młodzieży", wychodzący w „Dzienniku Chicagowskim", z którym chcemy zaznajomić nasze Czytelniczki, ujmuje przede wszystkim tym czarem, który zwykle rozsiewa młodość.

A więc pełno w nim wiadomości o „wstąpieniu w świat" młodych dziewcząt, które organizują przyjęcia dla koleżanek i kolegów w dniu, w którym już są dorosłymi pannami.

Dużo zaproszeń na koncerty, zabawy taneczne, zawiadomień o ślubach, o zbiorowych wycieczkach.

Alumnki Akademii Najświętszej Rodziny, zapraszają na bal jubileuszowy, urządzony z okazji istnienia Stowarzyszenia 25 lat, p. K. Sobierajski, jeden z członków Klubu Młodzieży Kupieckiej w Cleeveland Ohio, pisze o podróży po Polsce:

„Teraz dopiero po kilkutygodniowym pobycie wrażenia odniesione z tej podróży układają się warstwami w mej pamięci, tworząc piękny obraz, który na długo będzie mi miłym.

„Właściwie w Polsce znalazłem się już od wejścia na okręt polski. Dziewięć dni na „Piłsudskim" w przemiłej atmosferze polskiej gościnności, wygód i pierwszorzędnej obsługi wprawiły mnie w ten beztroski nastrój, jaki cechuje Polaków, i usposobiły przychylnie do dalszej podróży.

„Gdy po raz pierwszy ujrzałem Gdynię i brzegi polskiej ziemi, ogarnęło mnie uczucie, którego nie można opisać słowami — można je tylko przeżyć. W tej jednej, niezapomnianej chwili, przyszły mi na myśl te wszystkie opowiadania rodziców o Polsce, zrozumiałem ich tęsknotę i przywiązanie do tej dalekiej ojczyzny, poczułem się Polakiem".

A potem opowiada o tym, jak jechał „dorożką" w Poznaniu, co było niebywałą dla niego nowością, przyzwyczajonego do lokomocji autobusowej. Dalej wrażenia z Katowic, zwiedzanie fabryk i... Kraków, który, jak pisze, „pozostawił w mej wyobraźni typowy obraz prawdziwie polskiego miasta, które przez tyle wieków utrzymało swą starożytną piękność, i pomimo nowoczesnych urządzeń, owiane jest romantyczną przeszłością, która wygląda z pięknych kościołów i budynków historycznych, wąskich uliczek i tego niewypowiedzianego czaru polskiego miasta.

„Duże wrażenie zrobiły na mnie bogate kopalnie soli w Wieliczce, Kopalnie te są zaczarowanym światem bajki o śnieżnych i lodowych pałacach, w których mieszkały cudne królewne." Sól Wieliczki sprzedawana jest po całym świecie".

Z powodu zwiedzania Jasnej Góry w Częstochowie, mimo dodatnich uczuć doznał autor niemiłych wrażeń, obserwując uderzającą ilość skupisk Żydów, właśnie w miejscu, w którym najmniej należałoby się ich spodziewać.

„Zrozumiałem, pisze p. S., dlaczego Polacy zmuszeni są do walki z Żydami", którzy tak bardzo opanowali handel nawet świętościami w Częstochowie. Tu, dodać musimy, że więcej jest winna nasza bierność w tym wypadku, aniżeli zachłanność żywiołowa Żydów do handlu. Czas na poprawę jest zawsze.

„Polska się buduje" pisze pan Sobierajski, który wywiózł z kraju dobre wrażenia, zachęcając młodzież do zwiedzania starej ziemi i zbliżenia się braterskiego.

Dalej dowiadujemy się, że młodzież przy Zw. Polskim Kółek Lit. — Drano, wybiera się gremialnie do Polski.

Potem, czytamy nawoływania o *pielęgnowanie mowy polskiej.* Pisze o tym w gorących słowach p. Irena Zawilska. I aż radość ogarnia serce. Bo, właśnie w chwili, w której nasze kobiece pisma ciągle nawołują do ochrony rodzinnego życia, w dzienniku wychodzącym w Ameryce, czytamy:

„Dom rodzinny ostoją polskości".

Dzielą nas niby morza i oceany, przestrzenie i odległości, a mimo to łączą, jak gdyby instynktem samozachowawczym kierowane te hasła, których pielęgnowaniem, mimo długiej niewoli, musieliśmy się stać znów wolnymi, obywatelami — wolnej ojczyzny. Do tematu o tym *skarbie narodowym* jakim jest mowa ojczysta, powrócimy jeszcze, bo nie tylko w Ameryce strzedz jej należy.

Dziś jeszcze podkreślić musimy wagę tego co pisze p. Zawilska, przypominając znaczenie domu rodzinnego, bo nie wszędzie mamy na obczyźnie szkoły polskie, nie wszędzie ambona ze słowem polskim, więc „czego nie nauczymy się w domu rodzicielskim, tego nie nauczymy się nigdy".

Na matkę wkłada autorka obowiązek czuwania nad mową ojczystą od kolebki, „bo któż, jeśli nie rodzice powtarzać winni dziecku to, co każdy Polak na obczyźnie znać powinien: *Nie wstydźmy się słowa i Polski imienia, gdyż każdy z nas dumnym być może, iż duszą i ciałem jest z tego plemienia, co krzywd swych nie znosi w pokorze.*

„W atmosferze mowy polskiej i jej piękna, pisze p. Zawilska, niech każde dziecko polskie od najwcześniejszych lat przebywa. Niech miłość dla mowy ojców uczy się z pięknych naszych bajek i przypowieści, a potem, gdy je matka czytać po polsku nauczy — niech z polską książką obcuje stale, niech z niej czerpie skarby literatury polskiej i wiedzę o przeszłości narodu.

„Ale przede wszystkim niech na straży czystości mowy stoi zawsze matka, bowiem od niej tylko zależy atmosfera domu rodzinnego, ona tylko może polskość w duszach swych dzieci zaszczepić". *L. K.*



# CO MÓWI P. ŚLIWIŃSKA-ZARZECKA?

W jednym z ostatnich numerów „Ziemianki" pisma Stow. Zjedn. Ziemianek, p. J. Dmochowska referuje postulaty postawione na XXI Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym. Między innymi streszcza w skróceniu znakomity referat doskonałej prelegentki dr Śliwińskiej-Zarzeckiej i mówi, co przytaczamy cytując sprawozdawczynię:

1. „Aby przekształcić obecną rzeczywistość pod względem alkoholizmu, organizacje kobiece winny kształcić kobietę, jako gospodynię i żonę, jako matkę i obywatelkę:

a) „Przekonywać, że kobieta powinna we własnym domu rozpocząć walkę z alkoholizmem, że zmniejszenie alkoholizmu u mężczyzn zależy od starannego prowadzenia gospodarstwa domowego, od pogodnego nastroju i zainteresowania się pracą męża;

b) „że kobieta — matka jest przed Bogiem odpowiedzialna za zdrowie i duszę dziecka swego;

c) „że zasady trzeźwości, a nawet zupełnej abstynencji powinna szerzyć w życiu towarzyskim zarówno w sferach wykształconych, jak też i wśród warstwy pracowników fizycznych.

2. „Organizacje młodzieży żeńskiej winny kształcić swe członkinie, a przez nie wpływać na resztę młodzieży, posługując się metodami i środkami najbardziej przekonywującymi: mniej wysuwać szkodliwość alkoholu dla zdrowia, a raczej wykazywać pozytywną wartość abstynencji w pracy nad charakterem i nad pogłębieniem życia wewnętrznego. Organizacje winny przygotować swe członkinie do późniejszej pracy społecznej i podtrzymywać zainteresowanie przez ankiety i konkursy, przez opiekę nad dziećmi opuszczonymi, systematyczne omawianie różnych dziedzin alkohologii, wreszcie przez modlitwę o nawrócenie alkoholików.

3. „Ofiarna praca organizacji kobiecych w walce z alkoholizmem, będzie wytrwała i skuteczna, jeśli będzie owocem głębokiego życia wewnętrznego, wynikiem świadomości posłannictwa apostolskiego katoliczki dla przywrócenia Królestwa Bożego w życiu prywatnym i publicznym".

# O CZYM PAMIĘTAĆ NALEŻY?

*Pamiętać należy*, że wychodzi pismo pt. „Praca Ociemniałych”, którego prenumerata kosztuje rocznie tylko 3 zł. Doskonale rozumiemy, że każdy dom polski dziś jest często, nad miarę, obciążony zobowiązaniami płatniczymi na cele ogólne. Jednakże, jeśli nie prenumerata pisma, to może, bodaj 1 zł. wniesiony do P. K. O. na konto „Spółdzielnia Zarobkowa Praca Ociemniałych” nr. 21.320, nie zrobi w budżecie wielkiej różnicy, a będzie dowodem chęci niesienia pomocy tym, którzy dotknięci strasznym kalectwem, znajdą w naszych datkach miłe przeświadczenie, że los ich, nie jest nam obojętny.

*Pamiętać trzeba*, że w nadchodzącym roku obchodzić mamy 50-cio lecie Zgromadzenia Braci Albertynów, założonego przez Brata Alberta Chmielowskiego, który idąc śladami św. Franciszka z Asyżu, całe swe życie poświęcił dziełu miłosierdzia. JE. ks. biskup Jan Lorek zasyła Zgromadzeniu, które „żyje najczystszą miłością Boga i bliźniego” życzenia, aby służyło wielkiemu dziełu miłosierdzia nadal, błogosławiąc pracę zgromadzonych i pamięć o tych szczytnych zadaniach obowiązuje każdą — rodzinę polską.



*Pamiętać jest konieczne* o budujących się kościołach na Kresach równie wschodnich jak zachodnich. Najdrobniejszy datek — to cegiełka do wielkiego czynu.

# CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Podajemy do wiadomości naszym Czytelniczkom, że popularna wśród dzieci i młodzieży autorka, Alina Kwiecińska, napisała baśń sceniczną, którą wystawia p. Henryk Małkowski w sali Teatru Wielkiego. „Zimowe Bajki-Mikołajki” grane będą począwszy od dnia 8 grudnia w każdą niedzielę i święto o godz. 12 w poł.

*Wiedzieć trzeba:* W początku stycznia rozpoczyna się rok szkolny w Prywatnej Męskiej Szkole Żeglugi Rzecznej w Warszawie.

Zadaniem tej szkoły, powołanej do życia przez LMK, jest fachowe przygotowanie specjalistów na kierowników i maszynistów statków żeglugi rzecznej.

Szkoła posiada 2 wydziały: mechaniczny i nawigacyjny. Nauka w szkole trwa 3 lata, przy czym w okresie letnim odbywa się praktyka na statkach rzecznych.

Do szkoły przyjmuje się kandydatów w wieku od 15 do 18 lat na podstawie świadectwa z ukończenia 6 klas szkoły powszechnej i egzaminu wstępnego.

*Każda z gospodyń wiejskich wiedzieć powinna*, że sprawa hodowli drobiu jest poważnym zadaniem, którym zajmuje się Izba Rolnicza i, że odnośne informacje, dotyczące hodowli drobiu pod względem jakościowym, znajdą gospodynie na łamach pism rolniczych. Propaganda hodowli drobiu będzie także prowadzona i przez radio.

*Każda z nas wiedzieć powinna i objaśniać drugich*, że: wobec rozwoju lniarstwa, konieczna jest jego gruntowna znajomość techniczna. W Wilnie, przy współudziale Tow. Oświaty Zawodowej, organizuje się wyższy roczny kurs lniarsko-konopny, że na kurs przyjmowani będą absolwenci uczelni wyższych szkół przede wszystkim rolniczych, oraz wyższej szkoły rolniczej w Cieszynie.

*Nie tylko wiedzieć trzeba, ale zaraz ozdobić ściany domu należy*, pięknym wydawnictwem tych „przykazań domowych”, które już nasi Czytelnicy znają z doskonałego artykułu p. Zofii Iwaszkiewiczowej, zamieszczonego we wrześniowym numerze „Rodziny Polskiej”.

Przykazania te napisane przez naszą znakomitą pisarkę Marię Rodziewiczównę wydała redakcja pisma „Zagończyk” w Poznaniu, w tym drogim nam Poznaniu, który jest zawsze czujny na wszystko, co dobro przynieść nam może, jak zresztą przystało na kresowego obywatela Polski. Wydawnictwo postarało się o piękną formę, która odpowiada treści przykazań przeznaczonych dla „domowników i tych ludzi, którzy dłużej niż trzy dni w domu bytują”. A bytują chętnie bo w tym domu jest szlachetnie, dostojnie radośnie i pełno tam Bożego tchnienia.

# KALENDARZ MATKI NA ROK 1938

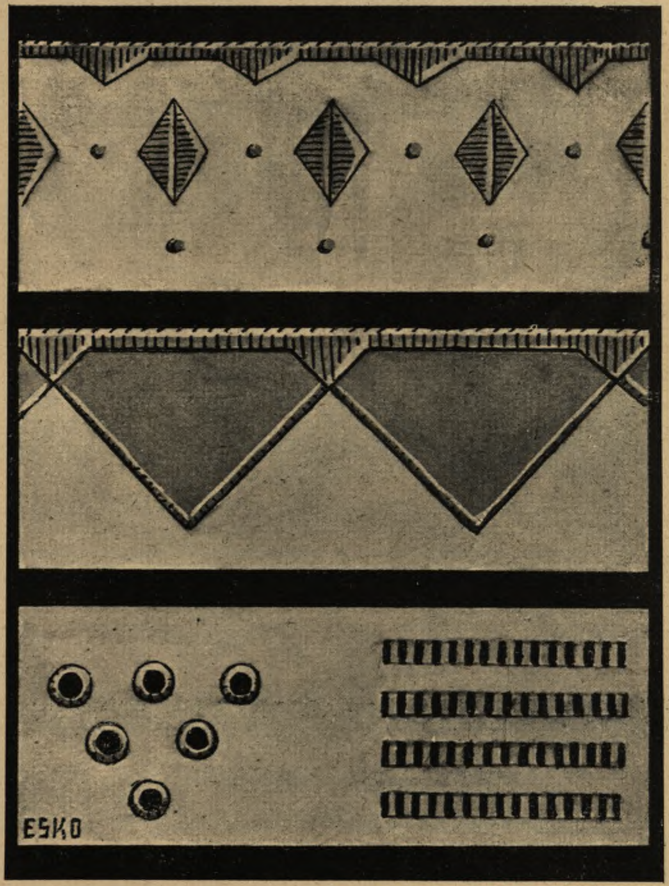
Autorki „Kalendarza Pani Domu na Wsi i Mieście” Z. Zaleska i W. Ładzina ułożyły obecnie „Kalendarz Matki na rok 1938”, który wyszedł z druku w pierwszych dniach grudnia. Stanowi on nowość w swoim rodzaju. Zawiera bowiem podział na 52 tygodnie, a w każdym tygodniu: kalendarz świąt i zdarzeń historycznych, wspomnienia o wielkich wychowawczyniach w Polsce, wskazówki i wiadomości o wszelkich instytucjach wychowawczych, organizacjach rodzicielskich w Polsce, poradniach, zakładach dla dzieci trudnych do prowadzenia, upośledzonych fizycznie lub umysłowo, o koloniach, świetlicach, żłóbkach itp. instytucjach opieki nad matką i dzieckiem w kraju naszym, wychowaniu fizycznym i narodowym, o szkołach piastunek i wychowawczyń, szczepieniach itd., kursach dla rodziców, o zarobkowej pracy matek, o stanowisku Kościoła w tej sprawie, o matkach opuszczonych i opiece nad nimi, o racjonalnym odżywianiu dzieci. Są w „Kalendarzu” wzory zabawek i gier, które samemu wykonać można. Pięknie ilustrowany ten podręcznik, mówi też i o matkach polskich na emigracji. Stawia sobie za cel pomoc matkom w spełnieniu ich zadań wobec własnych dzieci i wobec narodu. Patriotyczny i katolicki duch, jakim przeniknięty jest „Kalendarz Matki” zasługuje na podkreślenie, tak samo jak wysoki poziom przy popularnym ujęciu, oraz piękna szata przy taniej cenie zł. 1.40 za tom o 224 stronach.

„Kalendarz Matki” nabyć można pod adresem: Warszawa, ul. Mazowiecka 11 m. 31. tel. 2-92-50. Zamiejscowi mogą przesyłać należność przekazem pocztowym, wpłacając 1,40 za „Kalendarz Matki” i 50 groszy na przesyłkę pocztową razem zł. 1.90

Za zaliczeniem pocztowym — 2 zł. 40 gr.

# SZLACZKI I HAFT

Szlak do koszuli podanej na rysunku należy starannie narysować według wykroju i skalkować na koszulę, brzeg dziergany, a kwadraciki przedzielone środkiem, haftowane atłaskiem. Kropeczki haftujemy sypełkami. Podajemy jeszcze drugie wykończenie z podłożeniem tiulowym. Deseń trzeba również dopasować do koszuli, skalkować, podłożyć grubszy papier i przyfastrygo-





wać, na to nałożyć podwójnie złożony tiul i równo małymi ściegami według rysunku przyszyć, górę wydziergać na materiale i tiulu, a dołem zazębienie dosyć szeroką okrętką przyszyć — następnie po lewej stronie ostrożnie materiał wyciąć, a po prawej brzeżki tiulu przy zazębieniach. Na rysunku podany jeszcze deseń dziurkowany do dziecinnej bielizny, wielkość mereżek i sposoby wykonania.

*E. Kotwicz-Onichimowska.*




# BIELIZNA DAMSKA

Podany na rysunku garnitur z koszuli dziennej i majteczek jest ozdobiony haftem ręcznym z wydzierganym brzegiem. Haft podany osobno w naturalnej wielkości. Druga koszula dzienna ozdobiona karczkiem wymereżkowanym, który ukośnie wszywamy okrętką. Podajemy również mały wzór mereżek. Koszula nocna z wykładanym kołnierzem z przodu związana na kokardkę z tego samego materiału co koszula. Strojny kaftanik do łóżka wykonać można z jedwabiu albo cienkiej flaneletki.

Na bieliznę używa się cienkiego batystu lub jedwabiu do prania.






# BIELIZNA DZIECINNA

„Są dwa rodzaje nieszczęśliwych: bardzo ubodzy, którzy cierpią, danym osobno. Nocna koszula ozdobiona tym samym haftem, rękawki bufiaste. Koszula ze staniczkiem wykonana z batystu w kwiateczki. Majteczki wykończone dwoma rzędami mereżek, a spódniczka ze stanikiem ma materiał w drobny rzucik. Cała bielizna z kolorowego batystu. *E. Kotwicz-Onichimowska.*

## Piękne myśli

„Są dwa rodzaje nieszczęśliwych: bardzo ubodzy, którzy cierpią pochłonięci są przez pracę fizyczną, wszystkim służą i — bardzo bagaci, którzy nie znają przykrości, nie pracują fizycznie i nikomu nie służą. Pierwsi, w razie pomyślnej zmiany losu, mogą rozwinąć drzemiącego w nich ducha, drugim, pomimo ich najlepszych zalet, grozi zwyrodnienie". *Bolesław Prus.*

## Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Dajemy przepisy na 50 osób, które oczywiście, każda gospodyni podzieli sobie na potrzebną jej ilość.

Dawno staraliśmy się doprowadzić do pewnego poziomu elegancji i faktyczności — przyjęcia wieczorowe, które od czasu do czasu zorganizować winnyśmy. Przeróżne okazje, jak zjazdy rodzinne, imieniny, zaręczyny itd. narzucają nam ten miły, ale i trudny w teraźniejszych czasach obowiązek, służby bowiem wykwalifikowanej brak, więc samej należy sobie radzić.

Po różnych próbach, doszliśmy do pewnego typu przyjęcia, doświadczeniem naszym dzielimy się z czytelniczkami.

Bufet zimny — pod hasłem „Wszystko w auszpiku" daje możność przygotowania potraw wcześniej, a całą troską to przechowanie w niskiej temperaturze — tychże potraw przez parę dni.

Podajemy pewien typ takiego zimnego bufetu, ale naturalnie układ jego zmienić można, stosownie do posiadanych zapasów.

Bufet „wszystko w auszpiku" ma wiele dodatnich stron. Potrawy nie wysychają, estetycznie wyglądają, nie wymagają żadnego przybierania półmisków, a co najważniejsze, goście posługiwać się mogą tylko widelcem, co przy szczupłości miejsca jest rzeczą niezmiernie ważną.

*Przekąski:* 200 kanapek ostrych do których potrzeba kilka długich bułek angielskich, masło, 6 śledzi królewskich, 6 jajek na twardo, drobno posiekanych, oddzielnie żółtko i białko, garść szczypiorku drobno pokrajanego, brynosa z papryką i biała, pół klg. czerwonego kawioru, pół klg. wędzonego łososia, ewentualnie dodać można trochę pasztetu i sera szwajcarskiego cienko pokrajanego.

Kanapki robić należy rano w dzień przyjęcia. Układać je na tacach lub bardzo płaskich półmiskach na odpowiedniej wielkości serwetki zmoczone i lekko wyciśnięte, pokryć serwetką zmoczoną.

### Ryba faszerowana.

*Przepis.* Półtora klg. drobnych ryb, najprzód obrać z ości, posiekać mięso, dodać 10 cebul średniej wielkości upieczonych lub ugotowanych, 2 duże bułki kajzerki, wymoczone w smaku z cebul lub mleka, 3 jaja, soli, ekstraktu pieprzu do smaku. Gotować długi okrągły zraz w serwetce w smaku poprzednio wygotowanym z ości, głów i jarzyn. Po wystudzeniu wyjąć i krajać w plastry. Ułożyć na 2 półmiskach i zalać stygnącą galaretą, aby nie spywała. Na ¾ litra smaku, brać 6 listków żelatyny. Sklarować białkami.

### Galareta z kur.

*Przepis.* 10 piersi kur ugotować w smaku z jarzyn. Wystudzić. Obrać mięso i starannie zdejmować skórkę. Każdą połówkę piersi podzielić na trzy części, ułożyć do 2 form, najładniejszymi kawałkami na dół i boki, wewnątrz wsypać drobniejsze kawałki kury. Zalać rosołem wygotowanym do połowy z kości kurzych, do którego dodać trochę cytryny i żelatynę biorąc 20 listek na 2 litry płynu. (sklarować) zastudzić.

Dalsze przysmaki, do wypełnienia bufetu, damy w następnym numerze. Dziś, niezależnie od przepisów na zimne dania, dodajemy przepis na faworki, bo cóżbyśmy miały w karnawale do popołudniowej herbaty.

*Faworki.* 6 żółtek, 2 całe jaja, łyżeczkę masła, ½ łyżeczki cukru, 2 łyżki kwaśnej śmietany wyrobić z mąką na wolne ciasto. Wybić wałkiem i zaraz wałkować, krajać w długie paski, przecinać, pośrodku, wykręcić w węzeł i smażyć na gorącym smalcu, Posypać cukrem-pudrem.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

*P. M. W... w Warszawie:* Oczywiście, że jak wszystko na świecie, roboty ręczne wymagają już dziś specjalnej nauki — wykonania. Polecić możemy doskonałą kierowniczkę w tym kierunku, to jest panią El. Onichimowską, zamieszkałą przy ul. Hożej 34 m. 9. tel. 8.42.27. Udziela lekcji robót ręcznych jak: koronki, hafty, roboty szydełkowe i na drutach, wytłaczania na skórze, metaloplastykę. Słowem najszerszy program ma gotowy na usługi pań, zamiłowanych w tym dziale. Zupełnie godzimy się z panią, że umiejętność, jakiejkolwiek roboty ręcznej, jest niemal każdej kobiecie — niezbędna.

*P. Anieli Zatur... z Milanówka.* Pani zechce łaskawie zwrócić się do „Dźwigni" Chrz. Zw. Rękodz. Warszawa, Zgoda 6. Dadzą niezawodnie pracownicę, na której Pani będzie mogła polegać, która nie zawiedzie zaufania. Wszelkie zamówienia na hurtowe ceny — „Dźwignia" przyjmuje, gwarantując materiał i wykonanie. Gotowe sukienki dla dzieci i panienek po cenach niebywale tanich.

*P. M. W. w Łodzi* — śliczna książeczka Aliny Kwiecińskiej pt. „Przygody Mateuszka u Duszka — Kremołuszka", wesoła historyjka dla dzieci, zadowolni wszystkie Pani życzenia, tym więcej właśnie, że jest zdolna doskonałymi rysunkami Haliny Maszyńskiej, Wydawnictwo Polskiego Czerwonego Krzyża — w dodatku więc już pewność, że całość i ładna i zdrowa.

*P. L. M. w Kaliszu.* Księgarnia miejscowa na żądanie niezawodnie Pani sprowadzi śliczną także książeczkę dla dzieci Fr. Baturewicza pt. „Gdy słonko zaświeci" z ilustracjami Z. Horodyńskiej. Rysunki świetne, język doskonały, wydawnictwo staranne, polecić możemy z całą pewnością, że zadowolni życzenia Pani.

*Stałej Czytelniczce* naszej „Rodziny", wdzięczni za słowa uznania dla Redakcji naszego pisma, polecamy zaabonować jeszcze miesięcznik „Morze", Tam znajdzie Pani dużo wiadomości o zamorskich krajach, życie mieszkańców stref egzotycznych, oraz ich pracy, z której świat ciągnie korzyści. Właśnie numer, wydawnictwa Ligi Morskiej i Kolonialnej, za listopad, daje piękną kartę ilustracji o tym owocu, który rozpowszechniony na całym świecie, jest podstawowym pożywieniem ludności tropikalnej, to jest o bananie. Ilustracja daje nam: kwiat, owoc i jego zbiórkę. Bardzo słusznie, zajął Panią produkt, który z takim apetytem spożywają nasze dzieci. Niechże im będzie na zdrowie!

*Pani Marii M... w Łucku.* Nic, co ludzkie, nie jest nam obojętne. Niech kochana Pani pisze szczerze, licząc na równie szczerą odpowiedź. Listu czekamy.

*„Dobrej Gospodyni" z Ciechocinka.* Dobry układ potraw, to bardzo ważna sprawa dla żołądka i dla... humoru, bo dobre trawienie, to równowaga fizyczna. Mało mięsa, dużo jarzyn, sałat z surówek. „Związek Pań Domu", Nowy Świat 9, wskaże Sz. Pani odnośne wydawnictwa gospodarcze.

*P. W. R. z Brwinowa.* — Magazyn braci Jabłkowskich przewidując ostrą zimę, zaopatrzył swe piękne salony we wszystko, co ciepłe. Od rękawiczek, pończoch, szlafroków, sukien do wytwornych okryć z kołnierzami czy wyłogami futrzanymi. Uprzejmość sprzedawczyń i przystępne ceny są wielką zachętą dla kupujących.

# KĄCIK DLA DZIECI

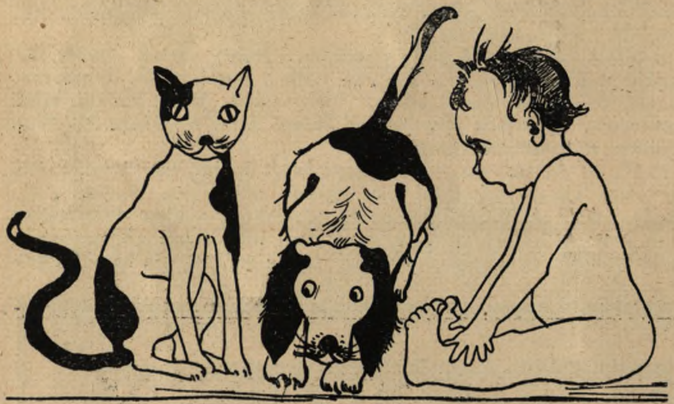
## OPIEKUNOWIE



Było to w dawnych, dawnych czasach. Dzidzi zostało samo w chacie. Ojciec poszedł na łowy, matka wyprawiała skóry, zdarte z upolowanych zwierząt, by były miekkie i służyć mogły na odzież i ciepłe posłanie, bała się brać malca z sobą, by nie skaleczył się jakimś ostrym narzędziem. Zostawiła go więc pod opieką dwu przyjaciół pana kota i imci psa. Odchodząc powiedziała: Pilnujcie mili moi dzidziusia. Ty psie strzeż go od wrogów, oganiaj od much gdy uśnie i niepozwalaj kotu wyciągać pazurów, a ty kocie baw go zgrabnymi ruchami, śpiewaj mu piosneczki i przypominaj psu, że dzidzi, to nie szczeniaczek, którego można nosić w zębach za skórę. — Pies powiedział „Ham", a kot „miau" — co znaczyło zapewne „bądź spokojna". Dzidzi zostało same, ale nie bało się, patrzyło tylko wielkimi oczyma na psa i kota i czekało jak go będą bawić. Pies przyniósł okrągły kamyczek i rzucił kotu, a kot zaczął go toczyć łapkami i kulać i przygarniać do siebie i odpychać, to się bardzo małemu podobało i chciało też robić to samo, złapało kamyk w rączkę i buch opuściło sobie i skrzywiło buzię znowu. Trzeba je umyć — powiedział pies — A któż mi taki kamyk przyniósł? — fuknął kot. Ale ja go dziecku nie dałem — odszczeknął pies. — Trzeba pamiętać, że dziecko wszystko chce brać w rączkę! — srożył się kot. Tymczasem dzidzi zadziwione nieznanymi mu odgłosami kłótni przypełzało bliżej i nagle wybuchnęło głośnym śmiechem, zawstydziły się pies i kot i umilkły, a dzidzi krzyczało klaszcząc w rączki „jeszcze, jeszcze" i zapomniało całkiem o bólu. Uspokoiwszy się trochę powędrowało w kąt izby gdzie stało jedzenie i z zadowoleniem zaspakajało głód. Syte i zadowolone uśmiechało się do swych przyjaciół, nagle jednak spojrzało na swe umazane rączki i skrzywiło buzie znowu. Trzeba je umyć — powiedział pies i podbiegłszy do dziecka oblizał mu rączki i nosek szerokim językiem. Trochę to pomogło, ale dzidzi było niezadowolone, otwierało i zamykało lepkie paluszki i kręciło główką. Wtedy kot siadł naprzeciw dzidzia i zaczął się myć łapką. Dzidzi patrzyło, patrzyło i po pewnej chwili zaczęło naśladować ruchy kota, ale skutek był niedobry, bo rozmazało jeszcze bardziej wszystko.

— Co my z tym poczniemy? — miauknął kot — co powie kobieta, gdy przyjdzie i zobaczy swego malca w paski i kratki? A pies z wielkiej desperacji podszedł do miski z wodą i zaczął pić chlapiąc wokoło szerokim ozorem. Kilka kropel spadło na dziecko. — Mam myśl — miauknął kot. — Przyprowadź dzidzia do wody. Pies podszedł do dzidzia i próbował je poruszyć. — Ba, jakże mam to zrobić — stęknął — gdy kobieta zakazała używać zębów. Ale dzidzi samo rozwiązało trudności, bo chwyciwszy psa za ogon, podniosło się na nóżki i podreptało za swym przewodnikiem. Pies zatrzymał się koło miski z wodą, tam siedział już kot i zanurzywszy łapkę w wodzie mył nią pyszczek. Ciężka to była sprawa dla pana kota tak dobrowolnie wkładać łapkę do wody, ale nie chciał być gorszym od psa, który pozwolił dziecku ciągnąć się za ogon, tę najszacowniejszą część psiego ciała. Dzidzi zobaczywszy co kot robi, pisnęło z uciechy i zanurzywszy obie łapki w misce, zaczęło myć buzię, a potem chlapać wodą wokoło. Tu już kot nie wytrzymał, skoczył w bok i fuknął. Co za dużo to niezdrowo! — Kocie chowaj pazury! — warknął pies. Dzidzi było teraz czyste, ale całe mokre. Co robić? Trzeba je ułożyć spać — zaproponował kot. I znów trzymając się psiego ogona powędrowało dzidzi na miękkie posłanie ze skór. Pies popchnął je łapą, naciągnął na nie skórę, to się dzidziowi nie podobało. wygięło buzię w podkówkę i zaczęło płakać. — Zostaw je — fuknął kot — nie umiesz się obchodzić z dziećmi. — A ty umiesz? — Jeszcze jak! — Połóż się i pilnuj nas przed wrogami, a ja dzidzi uśpię. — Pies westchnął, ziewnął i posłuchał kota, kot wskoczył lekko na posłanie, ułożył się koło dzidzia, objął je miękkimi łapkami i zaczął mruczeć piosenkę: „Ciernie korzenie, uśnij boże stworzenie, mr, mr, mr, mr, słyszysz, słyszysz, słyszysz mnie". — I mruczał tak cicho, coraz ciszej, aż usnęło dzidzi i usnął kot i nawet mucha na pułapie, tylko biedny pies nastawiał uszu, choć mu się bardzo spać chciało. A na drugi dzień, bardzo się kobieta dziwiła jak się dzidzi myć nauczyło.

*H. Rostafińska-Choynowska.*



## ZUCH!

*Z Zbyszka dzisiaj wielki zuch,*
*Na śniegowy wyszedł puch,*
*Przypiął narty, kijki w dłoni,*
*I w zawody z wichrem goni.*
*„Sanki, łyżwy to są żarty,*
*Sport prawdziwy tylko narty"!*
*— Do siostrzyczek woła swych,*
*Śmiały narciarz, imć pan Zbych —*
*„Patrzcie na mój piękny bieg",*
*Sunie — i wpadł nosem w śnieg.*

*H. R. CH.*

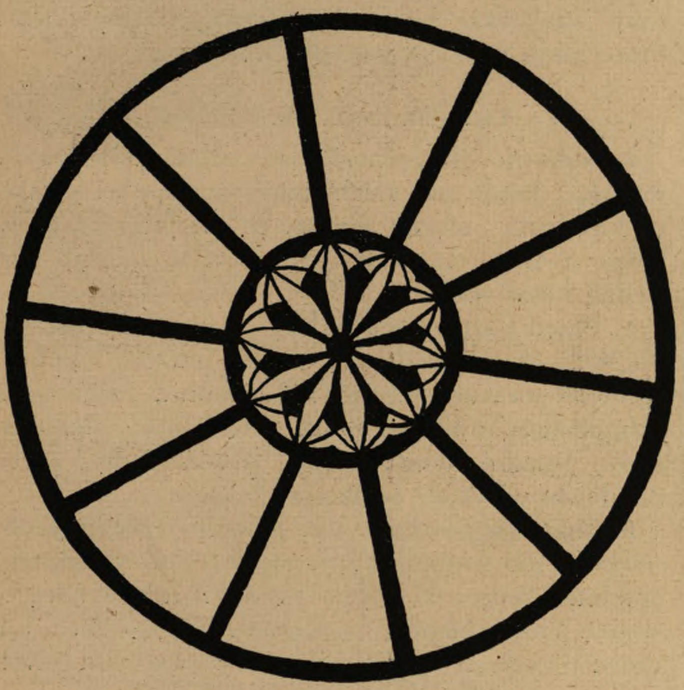
## ŻYCZENIE

*Poprzez nockę ciemną,*
*Przez gwiezdne promienie,*
*Schodzi Nowy Roczek,*
*Na tę naszą ziemię.*
*Niechże wam przyniesie,*
*Nowy roczek miły,*
*Chęci do nauki,*
*I do pracy siły,*
*Pogoda wesele,*
*By was otaczała,*
*A grzeczność, uprzejmość,*
*Serce wam jednała.*

*H. R. CH.*




## WIRÓWKA.



Znaleźć 10 wyrazów, których końcowe litery są początkiem następnych wyrazów. Początkowe litery tworzą nazwę miasta w Polsce, o którym się teraz dużo słyszy.

### ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Nazwa psa w powieści Sienkiewicza.
2. Zakończenie modlitwy.
3. Inaczej najazd.
4. Pies australijski.
5. Narkotyk.
6. Kwiaty polne.
7. Kraj w Azji.
8. Kraina w Grecji.
9. Siedziba zarządu miejskiego.
10. Bóg grecki.

## ROZWIĄZANIE SZARAD I ZAGADEK Z NR. 12 „RODZINY POLSKIEJ" Z R. 1937 Z „KĄCIKA DLA DZIECI"

### DLA DZIECI STARSZYCH.

I. Bilety wizytowe: 1) Lotnik, 2) Kowal, 3) Malarz.
II. (Granat, Gdańsk, Asyria, Silnik, Chomik, Śliwka) = Gdynia.
III. Szarada: (ta — las) A t l a s.

### DLA DZIECI MŁODSZYCH.

I. Choinka. II. Pies. III. Uczeń.

Dobre rozwiązania najpierwsi nadesłali i dostają książeczki: Zagadek dla dzieci starszych: Jerzy Dobrzański, Bochnia. Wanda Topolińska, Brześć n/Bugiem. Wacław Kamiński, Warszawa. Ala Wąsówna, Czortków. Krystyna Dziembianka, Warszawa.

Dla dzieci młodszych: Mirek i Sławek Ścisławscy, Jaś, Olo i Andrzej Krzeczunowicze, Boleżowce. Wsch. Małop. Felunia Łukańska, Warszawa. Stanisław Starzyk, Siemianowice Śl. Alinka Trawkówna, Żerniki k/Inowrocławia. Basia Kopkówna Sucha na Pomorzu. Juleczek Stachurski, Wapno.

### ROZWIĄZANIE NADESŁALI.

Władysław Starzyk, Siemianowice. P. Kałużyńska, Warszawa. Julek Bielecki, Warszawa. Kozerówna, Warszawa. Halinka Trawkówna, Żerniki. Witold Kowalczyk, Warszawa. Józefa Obiezierska, Wilno. Wacław Olkuśnik, Miechów. Zdzisław Poniewierski, Kielce. Jędruś Kuhn, Lwów. Urszula Przybyłowska, Koronowo. Bogumił Gęsikowski, Poznań. Józio — Pomorze. Kazimierz Kowalski, Grudziądz. Janusz Sulich, Warszawa. Jerzy Przędrakowski, Sandomierz. Janusz Małkowski, Warszawa. Agnieszka Kwaśniak, Strzemieszyce. Urszula i Bogunia, Ostrowskie, Częstochowa. Kazimierz Sobota, Żołędowo k/Bydgoszczy. Krystyna Hejnowiczówna, Poznań. Bolesław Pachulski, Gdynia. Sławek Honkisz, Rembertów. Magdzia Krzywicka, Warszawa. Krystyna Będzińska, Sucha na Pomorzu. Jerzy Zalewski, Czortków. Helenka Paulówna, Inowrocław.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. Lubieniecką proszę uprzejmie o dokładny adres, bo na kartce jest zamazany i niemoglibyśmy przesłać wnukom książeczki.

*Ali Wąsównie.* Dziękuję za życzenia i przesyłam nawzajem najlepsze noworoczne. Czy cieszysz się, że twoja karteczka zdążyła. Napisz znów do mnie, czy książeczka ci się podobała i oczym lubisz czytać — ja zaraz odpisuję.

*Mirkowi i Sławkowi, Ścisławskim,* przesyłam podziękowanie za ładny list i czekam następnego z wieścią jak się książeczka podobała.

*H. R. Ch.*





### Jadłospis dziecka w drugim półroczu.

Poczynając od 7-go miesiąca niemowlę można zacząć dokarmiać, dając zamiast pokarmu matki umyślnie przyrządzone posiłki, początkowo jeden posiłek dziennie, po kilku tygodniach dwa posiłki dziennie.

W tym okresie niemowlę może otrzymywać:

1) drobną kaszkę na wodzie z masłem,
2) drobną kaszkę na mleku,
3) zupę jarzynową,
4) jarzyny przetarte,
5) soki owocowe,
6) jabłko skrobane,
7) sucharki (biszkopty),
8) rosoły na mięsie (często wywołują plamy i bąble na skórze tzw. pokrzywkę).

### Tablica porównawcza składu chemicznego różnych gatunków mleka.

| | |
|---|---|
| Mleko kobiece zawiera: | |
| białka | 1,2 — 1,5% |
| tłuszczu | 3,5 — 5,0% |
| cukru | 6 — 7,0% |
| soli | 0,2% |
| Mleko krowie: | |
| białka | 3,4% |
| cukru | 4 — 5% |
| tłuszczu | 3,3 — 4% |
| soli | 0,76% |
| Mleko kozie: | |
| białka | 3,7 — 5% |
| cukru | 2 — 5% |
| tłuszczu | 3,4 — 3,6% |
| soli | 0,7 — 1,0% |

Jak widzimy, mleko krowie znacznie się różni od mleka kobiecego, gdyż zawiera znacznie więcej białka i soli, a za mało cukru.

### Odżywianie dziecka w drugim roku.

1) Dieta mieszana składa się z kaszki drobnej na wodzie z masłem, zupy jarzynowej z masłem, jarzyn przetartych, soków owocowych lub kompotu, jabłka surowe skrobane, bułeczki i sucharki.

Ilość mleka należy ograniczyć do ½ litra dziennie.

2) Dziecko otrzymuje 4 —5 posiłków dziennie, tj. co 4 godziny.

3) W przerwach pomiędzy jednym a drugim posiłkiem nie należy dawać ciastek i tp. słodyczy, np. cukierków i czekolady.

4) Nie należy dziecku dawać do picia mleka zamiast wody.

5) Unikać mięsa, a szczególnie wszelkich wyrobów z mięsa (wędliny).

6) Przyzwyczajać dziecko do używania filiżanki i łyżeczki.

Powyżej 1 litra mieszanki mlecznej zwykle niemowlętom nie dajemy, lecz staramy się stopniowo zastępować płyny pokarmem stałym, jako pożywniejszym. A więc dajemy w 2-gim półroczu kaszki, sucharki, kompoty, jarzyny, zupy i tp., które mają większą wartość odżywczą.

### Technika karmienia z butelki.

4. Dobowa ilość posiłków zależy od apetytu dziecka. Jeżeli ono niechętnie przyjmuje posiłki co 3 godziny, można dawać co 3½ lub co 4 godz. Odpowiednio do tego jednorazowe porcje wypadną nieco większe.

5. Przed karmieniem należy podgrzać pokarm do 38°C. W tym celu wstawia się butelkę z pokarmem do gorącej wody na kilka minut. Jeżeli brak termometra, to można nalać parę kropel mleka na skórę przedramienia: mleko powinno być nieco cieplejsze od skóry w okolicy łokcia.

6. Smoczek powinien być zawsze czysty i przed użyciem nie wolno brać do ust lub oblizywać, gdy spadnie. Smoczek myje się dokładnie w gorącej wodzie natychmiast po karmieniu dziecka. Od czasu do czasu należy wygotować w celu zniszczenia zarazków chorobotwórczych.

7. Podczas karmienia trzeba uważać, aby smoczek dokładnie był wypełniony mlekiem, a nie powietrzem. W tym celu butelkę trzyma się mocno pochyloną, ażeby dziecko nie połykało powietrza.

8. Czas karmienia trwa około 15 min. Dziecko nie powinno spać podczas karmienia, gdyż mogłoby się zachłysnąć.

9 Po karmieniu trzeba unieść dziecko i potrzymać chwilę pionowo, ażeby się „odbiło" powietrze, które dziecko mogło wyssać z butelki. Następnie kładzie się dziecko do łóżeczka bez potrząsania i kołysania, co jest bezwarunkowo szkodliwe.

10. Karmienie winno się odbywać zawsze o tej samej porze. W nocy obowiązuje 6 godz. przerwa.

**Dr med. Z. Lamentowski.**



Redaktor: Dr Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

# ROZRYWKI UMYSŁOWE
POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

## CHRYSTUS SIĘ NAM NARODZIŁ...
**SZARADA**

Hej, tam w Betlejem cuda **osiem** dzieją,
**czwór-raz** gwiazdy wschodzą, na niebie jaśnieją —
a aniołów **trzy-pięć-szósta**
wznosi się z wieścią na ustach:
Chrystus się nam narodził!
Hej, tam w szopie **Czwartywspak Siódmy ośm** rodzi,
w żłóbku **wtór-trzeciego** na ten świat przychodzi.
Pastuszkowie całą rzeszą
do tej szopy z pieśnią śpieszą:
Chrystus się nam narodził!
Hej, tam do stajenki, tam, gdzie jest Najświętsza
**Dziewięć-dziesięć-szósta** dąży rzesza większa:
jadą Mędrce, Króle, ludy,
nie dbają **dwa-pierwsze** trudy —
Chrystus się nam narodził!
Hej — i my tam pójdźmy do owej stajenki,
niech **pięć-dziesięć** Dziecię łzy naszej udręki,
cześć oddajmy Mu należną
i pieśń wznieśmy niebosiężną:
Chrystus się nam narodził! „**Rex**” (Kl. Sz.).

## WITAJ NAM ROKU NOWY!...
**SZARADA**

W górę serca, w górę głowy
**raz** górę kielichy!...
Powitajmy Roczek Nowy,
odszedł stary, lichy...
Dziś najlichszy **siedm-dwa-siódmy**
wymowny się staje:
**czwór-dwa** mówka a w niej cudny
bukiet życzeń daje...
Niech **raz-piąte** krąży w koło
w cześć Nowego Roku,
by zczezł krwawych wojen moloch —
zapanował spokój!...
Niech **czwartego** omijają
choroby, **pięć-trzecie**,
„**ósme-trzecie**” nie szargają
Twej sławy po świecie.
Poza innych życzeń mnóstwem
niech Wam szczęście sprzyja,
miano **ośm-półdrugiej-szóstej**
niech Was zawsze mija!... „**Rex**” (Kl. Sz.).

## UROCZYSTY WIECZÓR...
**SZARADA**

Już płoną gwiazdy **piąte-trzecie**
niby **siedm-trzecie** lampki, które
co **siedem-ośm-dziewiątego** w chmurach
zapala noc, by mrok rozświecić.
Dzisiejszy **siedm-ośm** z kreską **-półdziewiąty**
jakiś ma inny wyraz uroczysty
(bo i pora dnia może mieć **czwór-pięć-szóste**).
Wiatr skrył się w **wspakczwór-dziewiątego** zakątek.
Brzozy i sosny oddychają ciszą;
**drugie** i tamte już w półsen zapadły;
po gałęziach, krzakach śpią gdzieś ptaków stada -
księżyc srebrzawym blaskiem świat kołysze...
Zda się — i on **siedem**, że dziś noc wigilii,
noc święta cieni welony roztoczy.
Żywiej biją dziś serca, patrzą oczy
jaśniej, ludzie żyją pełnią chwili
uroczystej. W prac zajęć kołowrocie
każdy dziś tyle czasu **wspakdziewięć-siódme**,
by spojrzeć w niebo na gwiazd oczy złudne,
bo wilię, początek **raz-półwtórych**, przecie
zaczyna pierwszy gwiazdy migot blady.
Ludzie snują marzeń **dwa** (z haczykiem) **-szóste**
barwne; płyną życzenia, nieraz puste,
i znów wszystko popłynie dawnym śladem... „**Ar**”.

**REBUS ŚWIĄTECZNY**



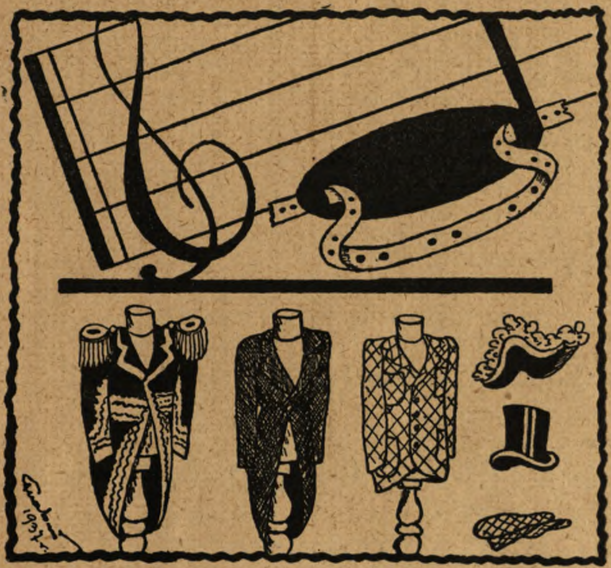

Na treść rebusu składa się dwa wyrazy (**A, a, b, c, i, j, o, t, w, w, z**).

„**Kasta**” (Kl. Sz.).

## BÓG SIĘ RODZI...
**SZARADA**

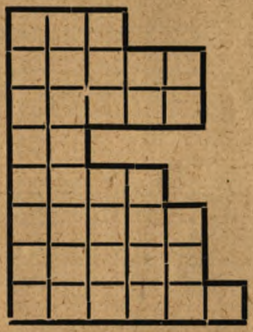
Gdy na ludzkie **pięć-czwarte** włożył grzech swe pęta,
musiała przyjść **wspaksiódma-druga** oraz **szósta**
z nieba nadprzyrodzona, w moc Bóstwa zaklęta:
musiały mowę ludzką przyjąć Boskie usta...
I oto **Pięć-pierwszego** Bóg nam na świat zsyła...
Betlejem... Późna **dziewięć-trzy-pierwsza** jesienna...
W żłobie **szósto-dziewiąto** śpi Dziecina miła
i śni, jaka Ją czeka na świecie gehenna,
jak to Syn Boży głodny oraz **siódmy-piąty**
(z góry Pan wiedział, **osiem** nie stać Go tu będzie
na **półdwa-trzy-wspakósmą!**) zmierzy świata kąty
niosąc słowa zbawienia, to Boskie orędzie!...
Na serc grunt **wspakdwa-czwarty** ma paść słowo Boże
więc te serca w noc ową radością przejęte
głoszą chwałę Dzieciątka, co leży w oborze...
A lud polski w kolędach sławi Imię święte.
**A. Mieczkowski** (Kl. Sz.).

**REBUS ZIMOWY**



Treścią rebusu są dwa wyrazy składające się z liter: (**A, e, e, i, j, m, n, o, o, r, s, t, w, z**). „**Jog**” (Kl. Sz.).

## PÓJDŹMY DO STAJENKI...
**ELIMINATKA**



Bóg się rodzi, gwiazda błyszczy,
Aniołowie głoszą chwałę,
lud wzywają, by szli wszyscy
witać Boże Dziecię małe!...
Nędzny **pierwszy**, bydło, siano,
oto Jego otoczenie,
od zarania już Mu dano
cierpieć — by nam dać zbawienie...
Pójdźmy wszyscy do stajenki,
niech nas **piąty** gwiazdy wiedzie,
niech hołd przyjmie ten Maleńki,
niech nas **szóste** w naszej biedzie!
Pobłogosław Boże Dziecię,
każde zbożne poczynanie
panujące **czwór** tym świecie,
**drugie** piekieł rozprósz Panie!
Wraże, **siódme** plamy wszelkie
racz powikłać — dość udręki,
niechaj zczezną sługi piekieł —
wytrąć **trzeci** z wrażej ręki!
Odwróć karę, **ósmą** okaż,
by przestała ludzkość krwawić —
świat pokojem Panie obdarz,
byśmy mogli Cię w nim chwalić!..

Z liter: **a, c, c, ć, d, e, e, e, i, i, i, i, i, k, k, l, l, l, m, m, m, n, o, o, o, o, r, r, s, ś, t, u, z, z** — ułożyć 8 wyrazów, zastąpionych w tekście liczbami.

Po wyeliminowaniu z tych wyrazów liter wchodzących w skład klucza (wyrazu pięcioliterowego, oznaczającego zdrobniałe imię Emil), litery pozostałe, po porządku odczytane, dadzą rozwiązanie.

„**Rex**” (Kl. Sz.).

Za rozwiązanie powyższych zadań (nawet jednego) przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrody książkowe.** Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy.**

## ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU LISTOPADOWEGO

Szarada: **Nastąpiło ukojenie.**
Zagadki: **1. Pastylki. 2. Limuzyna. 3. Pasterka. 4. Astronom.**
Szarada: **Kainowe pokolenie.**
Szarada: **A złotawe liście opadają z drzew...**
Szarada: **Listopadowe nastroje.**
Szarada: **Winogrona.**
Szarada: **Złota jesień.**
Szarada: **Zawierucha wojenna.**

Nagrody książkowe otrzymują: **p. Maria Strublówna** w Warszawie i **p. Janina Krzyżanowska** w Wilnie.

# HUMOR

## MYLNA DIAGNOZA

— Co pan taki strapiony, panie doktorze?

— Miałem bardzo niemiły wypadek.

— Jaki?

— Rok czasu leczyłem jednego pacjenta na żółtaczkę, a teraz się okazało, że to jest Chińczyk!

## DOBRA RADA

Kokosiński tęskni za bratnią duszą...

Nie mogąc jej nigdzie znaleźć, podaje ogłoszenie w dziale „towarzyskim" specjalnego pisma:

„Młody, mówią, że przystojny, mężczyzna, kawaler lat 30, pragnie znaleźć bratnią duszę, która by go odwiedzała często, pisywała doń i pamiętała o nim zawsze".

Po kilku dniach administracja pisma „towarzyskiego" wręcza mu ofertę:

„Radzę panu zamówić sobie ubranie u mojego krawca i nie zapłacić mu ostatniej raty"...

## DOBRY LEKARZ

Mała córeczka państwa Cypkinów połknęła pięciozłotówkę. Przerażona matka wiezie dziecko do lekarza.

— Czy jest doktor Glikson? — woła pośpiesznie.

— Owszem, mąż jest! — odpowiada żona lekarza, która w zastępstwie chwilowo nieobecnej pokojówki, sama otwierała drzwi pacjentom.

— Oj, kochana pani — biada Cypkinowa — takie nieszczęście. Rózia połknęła 5 złotych. Czy można zaufać pani mężowi tę operację?

— Niech pani będzie spokojna. Jeden grosz pani nie zginie.

## PRAKTYCZNY WYNALAZEK.

Państwo Ciapcińscy przywieźli sobie ze wsi służącą Antośkę. Antośka jest po raz pierwszy w mieście.

— Jakże się panience podoba w Warszawie? — pyta Antośkę jedna z koleżanek.

— Bardzo mi się podoba! — mówi Antośka. — Wygody takie, że jej!

— Jakie wygody?

— Z ogniem, na ten przykład. Wcale nie trzeba rozpalać. Pierwszego dnia, jak przyjechałam, zapaliłam tę gazową maszynkę w kuchni i już więcej, jak dwa tygodnie się pali.

## NIEUDANA KOMBINACJA

Pani Piernacińska wsiada do tramwaju z olbrzymim tobołem na ręku. Konduktor mówi:

— Za pakunek musi pani też zapłacić...

— Ile?

— Tyle, co i za bilet.

Pani Piernacińska odzywa się wtedy do tobołą:

— Zaraz cię odwinę, synku... I tak trzeba kupić bilet!

## POMYSŁOWY UCZEŃ

— Źle zrobiłeś zadanie! W odpowiedzi wychodzi ci o dwa grosze za mało!

— Czy nie mógłbym zapłacić te dwa grosze gotówką?

## RÓŻNICA

— Jaka jest różnica między urzędnikiem a starą panną?

— Urzędnik czeka na pierwszego, a stara panna czeka na — pierwszego lepszego.

## NARZECZONY I PIERŚCIONEK

— Zerwałam z narzeczonym...

— Dlaczego?

— Przestał mi się podobać.

— Odesłałaś mu pierścionek?

— Po co? Pierścionek podoba mi się dalej!

## ŁADNI GOŚCIE.

— Marysiu! — woła pani Kokosińska do swej służącej. — Niech Marysia dobrze posprząta w saloniku i niech Marysia nie wrzuca śmieci pod kanapę, bo dziś przyjdą do nas goście.

— Ładne goście — mruczy pod nosem Marysia — co będą pod kanapę zaglądać!...

## WERSAL.

Jakaś wycieczka zwiedza Wersal. Przewodnik wskazując w pięknej sali lustrzanej masywny stół, mówi:

— Na tym stole podpisano swego czasu traktat wersalski. Jak państwu wiadomo, z traktatu tego pozostał tylko stół...

## ZAJĘCIE.

Mała Frania obraziła sąsiadkę, która przyszła w odwiedziny, i matka postanowiła ją ukarać. Bierze więc Franię na kolano i bije ile wlezie. W tej samej chwili Frania widzi, że mały towarzysz jej zabaw wsadza głowę do pokoju przez uchylone drzwi.

— Czego chcesz? — woła zdenerwowana. — Czy nie widzisz, że jestem zajęta?

## DYSCYPLINA

W miasteczku wybuchł pożar. Na ratunek śpieszy oddział wojska. Koszary leżą daleko od miejsca pożaru, więc sierżant dał rozkaz: „Biegiem marsz"! W pobliżu miejsca katastrofy spojrzał groźnie na biegnących żołnierzy i zawołał ostro:

— To ma być „biegiem marsz"! Ja was nauczę, jak to wygląda. Wróć! — kierunek koszary, a potem znowu „biegiem marsz"!

## PRZY ŚNIADANIU

Trzyletni Stasio je śniadanie. Nagle wybucha płaczem.

— Co ci się stało, synku? — pyta zaniepokojona matka.

— Jakiś wstrętny ząb — odpowiada malec łkając — nadepnął mi na język!...

## PIERWSZA POMOC.

Lekcja fizyki w szkole powszechnej.

— Uważajcie chłopcy — mówi profesor — wchodzę do pokoju, przekręcam kontakt, ale światło nie zapala się. Próbuję drugi raz, trzeci, nic z tego. Co powinienem zrobić przede wszystkim?

— Zapłacić rachunek, panie profesorze!

## BONA

Pani domu, wchodząc do pokoju, zastaje bonę głęboko pogrążoną w lekturze jakiegoś romansu, podczas gdy dziecko w łóżeczku krzyczy z całych sił.

— Ależ, Anno! — mówi do niej — to jest przecież niemożliwe jednocześnie czytać i pilnować dziecko...

— O, nie proszę pani, ja jestem przyzwyczajona i mnie taki krzyk zupełnie nie przeszkadza!

## TEORIA PRAWDOPODOBIEŃSTWA

Podsłuchane na wystawie psów:

— W jakim celu właściwie nazwał pan swe wszystkie trzy psy jednakowo: „Nero"?

— Żeby przynajmniej jeden z nich przyszedł, jak zawołam!

## SKANDAL

— Słyszałeś o tym, że w Brazylii rzucają kawę do morza?

— Słyszałem...

— A czy słyszałeś, że u nas rzucają kartofle do wody?

— Niemożliwe! Skandal!

— Ależ tak! Jakby je inaczej można było ugotować?

## REGULAMIN WOJSKOWY.

— Co robi żołnierz na posterunku, widząc, że podchodzi wartownik, który ma go zmienić?

— Cieszy się, panie kapralu!

## NASZE SŁUŻĄCE

— Czy Wikcia była u rzeźnika?

— Byłam.

— Czy on ma nóżki cielęce?

— Nie wiem, prze pani, bo był w butach!


Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Polska | 6 zł. | Czechosłowacja | 35 kor. cz. |
| Niemcy | 4 Rmk. | Ameryka | 2 dolary |
| Francja | 23 frank. | Inne kraje | 6 fr.szw. |

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71 — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.